Nr. 97. Lwów. — Czwartek dnia 29. Kwietnia. **Rok 1886.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie — zł. 75 ct.	Miesięcznie . 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie . 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Adres *Redakcji i Administracji:* Ulica Sykstuska l. 45.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:

WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Sykstuska l. 45. W WIEDNIU *Prenumeratę:* Zeitungsbureau Goldschmiedt (I. Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia:* M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14 — Rudolf Moses, Seilerstadte 2.

OGŁOSZENIA przyjmują za opłatą 10 ct. od wiersza petitowego za pierwszy raz, a 5 ct. za każdy raz następny.

NADESŁANE w cenie 30 ct. od wiersza.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Piotra M.
Jutro: Katarzyny Sen.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 4 m. 41·6 | Długość dn. g. 14 m. 31·8
Zachód „ g. 7 m. 13·4 | Przybyło „ 3·6 minuty

Lwów 28. kwietnia.

Podaliśmy wczoraj głosy dwóch dziennikow rosyjskich o mowie p. Kościelskiego w pruskiej Izbie panów, dziś pod tytułem „Sprawy polskie" podajemy ten z owej mowy urywek, który wywołał uwagi prasy rosyjskiej i niemieckiej. Obie te prasy interpretują mowę p. Kościelskiego dowolnie, podsuwając jej myśli, których nie zawiera, a czynią to z ironją, w której więcej złośliwości, jak dowcipu.

Bo w samej rzeczy, gdzież p. Kościelski powiedział, że Polacy uważają ks. Bismarka za „jedynego opiekuna i obrońcę", że od niego wyczekują pomocy i że w razie zatargu Niemiec z Rosją staną po stronie pierwszych? Uważając frazes *Swieta* o „lizaniu rąk" za prostą swawolę stylową, nie pytamy go, któryż to ustęp w mowie p. Kościelskiego można przyjąć za wyraz tak poniżającej pokory.

Trzeba mieć dużo bujnej i podejrzliwej (że nie powiemy, złośliwej) fantazji, aby z mowy p. Kościelskiego wyciągnąć wniosek o naszych nadziejach na ks. Bismarka, jako na człowieka, który się przyczyni do rozwiązania kwestji polskiej w duchu sprawiedliwości. Ażaliż kanclerz niemiecki za mało jeszcze zrobił dla przekonania nas o tem, że jest zawziętym wrogiem Polski?

Ale co innego jest liczyć na jego poczucie sprawiedliwości, a co innego dziwić się, że tak wytrawny i przewidujący mąż stanu nie ceni czynnika, który wewnątrz Niemiec nie może być im szkodliwym, a przy pewnych okolicznościach — kiedy ów czynnik zjawi się jako żywioł zagraniczny — może im oddać pewne usługi choćby tylko samem zachowaniem się biernem. Bynajmniej nie utrzymujemy, że gdyby ks. Bismark był sprawiedliwy dla ludności wielkopolskiej, to ludność Królestwa Polskiego w razie wojny Niemiec z Rosją stanęłaby po stronie pierwszych. Dziwimy się tylko, że on tak gorliwie się stara o rozbudzenie w całym naszym narodzie nienawiści do Niemców, których armja — wszystko przecież możliwe! — może kiedyś będzie potrzebowała walczyć z Rosją w dolinie Wisły.

W razie takiej wojny przyrzekł jednak p. Kościelski, że mimo prześladowania i gwałtów, Polacy staną po tej stronie, z którą ich wiąże tradycja wspólnej i przeszło tysiącletniej kultury. Mówił tu oczywiście p. Kościelski nie o rządzie ks. Bismarka, z którym przecież nie łączą nas ani tradycje, ani tysiącletnie dzieje, lecz o zachodniej cywilizacji, której istotnie nasz naród zawsze pozostanie wierny, bo z nią się skojarzył przed lat tysiącem. Mówił przytem najoczywiściej nie o całym narodzie polskim, lecz tylko o tej jego części, która podlega niemieckiemu berłu, bo w przeciwnym razie nie położyłby nacisku na zdaniu, że p o m i m o g w a ł t ó w i p r z e ś l a d o w a ń Polacy zostaną wierni wspólnej tradycji. A cóż przeciw takiej wierności mogą mieć Rosjanie? Rozpatrując ją ze stanowiska etycznego, oni właśnie podziwiać powinni tę lojalność Wielkopolan, którzy pomimo gwałtów i prześladowań nie myślą o zwróceniu swych aspiracyj po za granice monarchji, do której należą.

Rozpatrując zaś ową wierność Polaków wspólnej tysiącletniej tradycji ze stanowiska słowiańskiego, dziwić się jej Rosjanie absolutnie nie mogą. Bo i cóż oni dla tego zrobili, byśmy przekreślili całą naszę przeszłość i poczęli się garnąć do cywilizacji wschodniej? *Swiet* woła: „Ks. Bismark tępi Polaków, wypędza ich z Wielkopolski, wywłaszcza z roli na korzyść kolonistów niemieckich, ucieka się do przymusowych środków germanizowania szkoły, Kościoła, rodziny!" Jakże łatwo ten wykrzyknik strawestować i zawołać: rząd rosyjski tępi Polaków, wypędza ich w głąb caratu, wywłaszcza z roli na korzyść kacapów i czynowników, ucieka się do drakonicznych środków w celu zrosjanizowania młodzieży za pomocą szkół, prześladuje nasz Kościół tak, jak już nigdzie na kuli ziemskiej nie prześladują żadnego wyznania, za każde głośno wymówione słowo polskie nakłada kary!"

Artykuły rosyjskich dzienników z rosyjskiego punktu widzenia są zrozumiałe: niezawodnie jest to bardzo przykre dla Rosji, że Polacy, tak gnębieni przez Teutonów, wolą ich przecież bardziej niż Rosjan. Ale czyż to Polaków wina, że gnębienie Teutonów jest bądź co bądź mniej dotkliwe?

Co do ironji, z którą odezwały się rosyjskie dzienniki, to znajdujemy ją całkiem na miejscu. Powiemy nawet więcej: zupełnie ją dzielimy, bo doprawdy, czyż podobna wyobrazić sobie fatalniejsze rozwiązanie kwestji polskiej, jak owo, polegające na rzuceniu się w ramiona którejkolwiek ze stron, rywalizujących o tę zdobycz po to jeno, aby ją połknąć!

Niech nam wybaczą i rosyjskie i niemieckie dzienniki, ale powiemy otwarcie, że gdybyśmy dziś musieli koniecznie wybierać między Rosją a Niemcami, to wkońcu odezwalibyśmy się znanym czterowierszem Heinego, który na prędce tak tłómaczymy:

Przedni są ci i tamci zaiste są przedni.
Lecz przebacz nam Boże, żeśmy tak wybredni!
Co innego do gustu bardziej nam przypada:
Smażone piskorze — to przysmak nielada!

Wkońcu jeszcze jedna uwaga — specjalnie pod adresem *Swieta*: Przykładów na to w dziejach i przeszłych i teraźniejszych bez liku, że wszystkie cierpienia naszego narodu stokroć są większe właśnie dla tego, żeśmy niezdolni do poniżania się i lizania ręki zarówno tej, która dręczy, jak i tej, która głaszcze. Takimi byliśmy i takimi umarlibyśmy, gdybyśmy umrzeć mogli. Lecz właśnie owa nieugiętość, niezłomność w cierpieniu jest dowodem żywotności naszej.

Sprawy polityczne.

Sprawy polskie. W dalszym ciągu dyskusji z dziennikami rosyjskiemi, podajemy dziś dosłownie tę część mowy p. Kościelskiego, która ściągnęła na nas grzmoty i pioruny w petersburskiej prasie.

„Historja uczy — rzekł p. Kościelski — że w pomroku średniowiecznego bezprawia poszczególne szczepy słowiańskie zostały wytępione przez ich sąsiadów. Temu nikt nie zaprzeczy, że ogień i miecz były najpotężniejszemi sprzymierzeńcami kultury w tem wytępianiu. Nadto, chodziło wówczas o małe, w ustawicznych niesnaskach i zwadzie z sobą żyjące narody, które raczej ogniowi i mieczowi i tej zawsze pomyślnej polityce sąsiadów, trzymających się zasady: „divide et impera," aniżeli wyższej kulturze uległy. Chociaż długo sądzono, że ślady tych ludów już dawno znikły—do tego było przecież tysiąc lat potrzeba —jednak i dziś jeszcze objawia się wśród tych ludów życie narodowe; dość tylko przypomnieć ludność w wendyjskim losie i w Luzacji.

Dziś w walce o wytępienie nie ma już tego najpotężniejsszego jej sprzymierzeńca, tej surowej siły miecza, a nadto sądzę, że skazani na wytępienie są dziś do walki tej nieco lepiej uzbrojeni, jak kiedyś ich współplemieńcy nad Łabą i Odrą. Walka, którą staczano przed 1000 laty, trwa niewątpliwie po dziś dzień. Tylko zmodernizowano ją: w miejsce surowej siły miecza wstępuje dziś broń nowoczesna — złoto. Ależ i ono okaże się bezsilnem: gdzie się miecz wyszczerbił, tam i złoto się odbije.

Kwestja, która teraz, a nie przez nas wysunięta została, zawsze będzie występować naprzód. Może teraz właśnie był dla nas potrzebny ten nowy cios, abyśmy nie osłabli w tej wiecznej walce i abyśmy się przygotowali na jego odparcie.

Nie sądźcie panowie, że to jest zarozumiałością, com właśnie powiedział. My bynajmniej nie lekceważymy potęgi, która nam zagraża, ale bardzo żałujemy, że to właśnie ta potęga, a nie jakaś inna nam grozi, bo już od dość dawna oswoiliśmy się z myślą, że ów wielki mąż stanu, który kieruje losami Europy uzna ważność polskiej kwestji, i rozwiązanie jej, właśnie w interesie swej ojczyzny, w swoje weźmie ręce Nadzieja ta—chociażby ją przedłożony t. zw. projekt polski jeszcze bardziej miał osłabić — nie znikła zupełnie.

Przecież, jak wiadomo, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; nie wiemy, co nam dzień jutrzejszy przyniesie i co się może z dzisiejszego prześladowania wyłonić. Mogą się wyrodzić stosunki, które kwestję naszę jeszcze bardziej naprzód wysuną, a na taki wypadek dziś już stwierdzam, że mimo prześladowania, mimo zadawanych nam gwałtów, zawsze po tej stronie stać będziemy, z którą nas wiąże tradycja wspólnej i przeszło tysiącletniej kultury.

Dziś spokojnie, chociaż nie bez protestu, poddajemy się wszystkiemu, co nas spotkać może, poddajemy się w tej ufności, że to może na naszę wyjdzie korzyść i że nasi przeciwnicy uznają, iż to nie jest droga, na którejby nas dosięgnąć można.

Dla tego też nie myślę zakończyć mego przemówienia zwykłem wezwaniem, aby Izba projekt ten odrzuciła. Niemożebnych rzeczy nie żądamy. Myślę w końcu mego przemówienia inną zrobić uwagę.

Oto, projekt ten zdaniem mojem — a sądzę, że w tym względzie mówię także w imieniu wszystkich moich rodaków—projekt ten, chociaż uprawnionym nie jest i nigdy nim nie będzie, byłby przynajmniej do wytłumaczenia, gdyby rząd poprzednio wszystkie inne wyczerpał środki, aby dojść do porozumienia ze swymi polskimi poddanymi. Ależ w tym względzie żadnych doświadczeń nie przedsięwzięto i to właśnie uprawnia mnie do przypuszczenia, że rząd nie życzy sobie wogóle żadnego porozumienia z polskimi poddanymi. Kończąc, kładę główną wagę na to, żem to zaznaczył."

W końcu przytaczamy jeszcze część mowy ks. Bismarka, a czynimy to dla odparcia twierdzenia *Swieta*, jakoby kanclerz „zaczął przemawiać w duchu p. Kościelskiego, przedstawił się naprawdę przyjacielem Polaków, oświadczył, że nie życzy spolonizowania Niemiec, ale za obrębem Niemiec żywi dla Polaków przyjaźń i dał do zrozumienia, że nietylko nie jest przeciwnikiem przywrócenia Polsce niezależności, ale owszem nic nie będzie miał przeciw temu, byle to się odbyło bez terytorjalnego uszczuplenia Niemiec."

Oto są słowa ks. Bismarka:

Zdaje mi się, że p. Kościelski nie czytał z należytą uwagą rozpraw, które się odbyły w Izbie poselskiej, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby to uszło jego uwagi, że nasz projekt ma przeważnie charakter obronny. My nie chcemy polonizmu tępić, lecz pragniemy tylko niemczyznę od wytępienia obronić. Są fakta na to, że ta niemczyzna jest tępiona, chociaż nie w ten sposób, jaki preopinant nazwał jedynie możebnym, t. j. za pomocą ognia i miecza, którym swego czasu chciano wytępić Wendów. Dziś tępienie Niemców odbywa się łagodnie, za pomocą szkoły, nabożeństwa, nauki religji i przez przewagę społecznego stanowiska polonizmu. Od czasów flotwelowskich, od usunięcia jego systemu przez odprawę sejmową z roku 1841, tępienie niemczyzny w dawniejszych polskich dzielnicach postępuje wolno ale niezaprzeczenie naprzód.

Wogóle, powtarzam to raz jeszcze i głównie dla tego zabrałem głos, aby oświadczyć, że nie jest zamiarem projektu rządowego tępić narodowość polską, albo ją usuwać, — my tylko pragniemy osłonić Niemców i otoczyć ich opieką, aby ich nie wypierano dalej i nie tępiono więcej, jak się to działo dotąd w ostatnich 30 latach pokoju pod wpływem konstytucyjnych instytucyj, które Polacy bardzo zręcznie do swych celów wyzyskiwali. Zabrałem tylko głos dla tego, aby wystąpić w obronie defensywnego charakteru naszego wniosku i oświadczyć, że celem jego jest: położyć tamę coraz to bardziej pod wodzą duchowieństwa i szlachty szerzącemu się dziełu polonizowania prostych ludzi w naszych polskich dzielnicach — aby zawołać: *Tu dotąd — a nie dalej!*

Ku obronie ludności niemieckiej w tamtejszych stronach chcemy wznieść tamę przez to, że powięk-

szymy istotnie liczbę ludności niemieckiej w tamtejszych stronach i że się chwycimy środków obrony przed polonizacją, nie dla tego, aby Polakom zabierać ich narodowość, ale tylko, aby zapobiedz na przyszłość skandalicznemu w granicach Niemiec objawowi, że w całych gminach z praniemieckiemi nazwiskami nie ma ani jednego człowieka, któryby się przyznał, że jest Niemcem; że po niemiecku już nie umieją, chociaż ich dziadowie byliby z oburzeniem odparli insynuacją, iż nie są Niemcami.

Tej polonizacji, która jak rak wżera się w niemiecką ludność tamtejszą, spodziewamy się za pomocą tego projektu i żądanych środków stawić zaporę i powstrzymać ją skutecznie.

Atoli o zamiarze tępienia narodowości polskiej nie ma tutaj mowy; my tylko Niemców ratować chcemy!"

Oto i wszystko. Więc chyba ten jeden wykrzyknik kanclerza niemieckiego: „Tu dotąd, a nie dalej!" wydał się podejrzanym petersburskiej prasie. Rzeczywiście, wyraz tu, to znaczy w Wielkopolsce, lecz nie gdzieindziej jeszcze. Chętnie wierzymy zmartwieniu Rosjan i rozumiemy żal ich do ks. Bismarka, iż tylko na Wielkopolskę ograniczył swą polonofobską działalność, ależ Rosjanie przynajmniej to wiedzieć powinni, że choć potężnym jest kanclerz niemiecki, ale ramię jego nie sięga naprzykład w naszę stronę dalej, jak do Katowic.

Do *Czasu* piszą z Berlina:

„Wszystkie dzienniki, pisma literackie ilustrowane, naukowe, zajmują się Polakami — literaturą, historją, społeczeństwem polskiem — fejletony zapełnione monografjami, jak np. *Goethe und die Polen* — lub opisami Krakowa i t. p. Czy to objaw sympatji, współczucia, reakcji przeciw ustawom i planom polakożerczym? Nie, to tylko aktualność ciekawa, będąca w modzie. Z wszystkich mówców polskich w ostatnich czasach największego doznał sukcesu p. Kościelski.

Kanclerz odpowiedział mu w Izbie z niezwykłem umiarkowaniem, niemal uprzejmością. Dzienniki, zwłaszcza liberalne, podają mowę p. Kościelskiego *in extenso* i wyrażają się o niej sympatycznie. Pan Kościelski wraz z małżonką ma zamiar osiedlić się w Berlinie, gdzie ma znajomości i stosunki w różnych sferach wpływowych. Do komisji dla wykupywania ziemi polskiej w Poznańskiem zgłosiło się najpierw 30 właścicieli Niemców, którzy proszą o ratunek w zagrożonym stanie swych interesów. Zachodzi pytanie, czy od tego rozpocznie się akcja ekspropriacyjna w Poznańskiem?

Sprawa wschodnia prawdopodobnie niebawem, choć niezawodnie na krótko, zejdzie zupełnie z porządku dziennego. Grecja się rozbrają, znaglona do tego przedstawieniami Francji i tą pewnością, że groźne ultimatum mocarstw ostatecznie będzie wręczone, skoro na poparcie jego znaczenia dziesięć wojennych statków, należących do różnych państw europejskich, przybyło z sudajskiej zatoki do pirejskiego portu, to jest pod same mury ateńskie. Ledwo p. Delyannis oświadczył, że Grecja poddaje się woli Europy, statki te natychmiast podniosły kotwice i odpłynęły do Sudy — to właśnie wskazuje, po co one przybyły do Pireju.

Wobec pokojowego zwrotu w Grecji tracą na znaczeniu owe narady, które się w sobotę i zapewne w następnych dniach odbywały w Liwadji. *Post factum* zapewnił ją półurzędowe organa, iż dyplomacja europejska wiedziała, że owe narady nie będą miały międzynarodowego znaczenia.

Firman sułtański, mianujący ks. Aleksandra jeneralnym gubernatorem Rumelji, jest tak zredagowany, że książę i rząd jego są zupełnie zadowolnieni.

Słowem — wszystko, jak w komedji kończy się ku ogólnemu zadowolnieniu. Teraz tylko jeszcze parlament grecki, który się zbierze za dni 10 powie swe zdanie o don-kiszockiej polityce rządu, a następnie — o co jest obawa — lud może przemówić.

Niemcy. Poseł niemiecki przy Apostolskiej Stolicy p. Schlözer, przyjęty był w Wielki Piątek przez Papieża, któremu wręczył własnoręczny list cesarza Wilhelma, potem się naradzał z kardynałem Jacobinim i następnie wysłał do Berlina kurjera, który — jak utrzymują — powinien dokładne wyjaśnienia stanowiska Stolicy świętej w spornych jeszcze punktach ugody kościelnej.

Belgja. Z Brukseli donoszą, że rozruchy robotnicze stają się coraz groźniejsze. Wszystkie fabryki w okręgu Leodyum znowu stanęły. Robotnicy poniszczyli maszyny i dopuszczają się różnych gwałtów, tak, że znowu trzeba było wszystkie miejscowości obsadzić wojskiem.

W ogromnych fabrykach zapałek w okręgu grammonckim zabastowało kilka tysięcy robotników, którzy w Wielki Piątek w południe, stoczyli formalną bitwę z wojskiem i żandarmerją. Areną tego dramatu było miasto okręgowe Grammont. Robotnicy obsadzili most na rzece Drendzie, łączący to miasto z okolicą, przez co wstrzymali dowóz żywności. Żandarmerją powitali kamieniami. Natenczas oddział policjantów przeprawił się przez rzekę w łodziach i z tyłu zaatakował robotników. Ci wówczas, porzuciwszy most, wtargnęli do miasta i tu poczęli burzyć sklepy i domy, a gdy nadbiegło wojsko, zaczęła się bitwa. Zabitych na placu zostało kilkunastu; resztę ofiar tej walki, jako też rannych, cofający się robotnicy zabrali z sobą. W wojsku i żandarmerji liczą kilkudziesięciu rannych.

Polacy w Warmji. Wiadomo powszechnie, pisze *Czas*, że obudzenie żywego poczucia narodowości polskiej w większej części Prus zachodnich mamy prawie wyłącznie do zawdzięczenia natarczywej dążności germanizacyjnej rządu pruskiego, wykonywanej w właściwy mu drażniący sposób. Te same przyczyny wywołują dziś podobne skutki w najodleglejszych zakątkach Prus wschodnich.

Wiedziano wprawdzie o reszcie dzielnic polskich, że w powiatach olsztyńskim, reszelskim, szczytnieńskim i ządzborskim jest jeszcze gęsto rozsiana ludność polska, ale uważano ją zawsze za nieco zobojętniałą i słabe już tylko poczucie swej narodowości mającą, chociaż, nie umiejąc po niemiecku, w zwyczajnych stosunkach życia używała jeszcze języka polskiego. Utrzymywało ją też dotąd w tej obojętności rozsądne postępowanie rządu, nie drażniącego niczem ich uczucia narodowego. Ludność ta, o ile jest protestancką, używała też od wieków biblji i śpiewników, gotyckiemi głoskami w języku polskim drukowanych.

Taki stan rzeczy byłby może przetrwał jeszcze długie lata.

W r. 1873 wydał wprawdzie rząd przepisy szkolne w duchu germanizacyjnym skreślone, te jednak zwolna tylko podobno wprowadzane były w życie.

W tem przypomina sobie rząd raptem w zapale swym germanizacyjnym, gorejącym teraz żywym ogniem, że przepisy nakazujące niemiecki wykład nauki w szkołach prowincji pruskiej, do których uczęszczają polskie i litewskie dzieci, były dotąd — z czysto oportunistycznych zapewne względów — bardzo niedbale wykonywane i poleca jak najściślejsze wykonywanie ich. Rozporządzeniem tem wywołał rząd rozjątrzenie, które już wydało swe owoce.

Ludność polska wspomnianych powiatów zebrała się na dwa wielkie wiece i wysłała do Sejmu petycję, podpisaną przez 3521 ojców rodzin, w której petenci wykazują przewrotność metody, nie dozwalającej dzieciom ich, nieumiejącym po niemiecku, korzystać z dobrodziejstwa szkoły.

Petycja kończy się, jak następuje:

„Jesteśmy zarówno z Niemcami poddanymi króla, równie jak oni płacimy podatki i przelewamy krew na rozkaz króla, dlaczegóż więc dzieje się dzieciom naszym, zmuszonym pobierać naukę w obcym języku, taka krzywda, iż nie mogą się tyle nauczyć w szkole, jak niemieckie dzieci, iż owszem nauka nawet je ogłupia. My chcemy, aby się dzieci nasze nauczyły czytać i pisać po niemiecku, o ile się to tylko da osiągnąć; ale dzisiejsza metoda nauki żąda, aby polskiego języka zupełnie zapomniały, a na to przystać nie możemy. Mamy to przeświadczenie, iżbyśmy ciężko wobec Boga zgrzeszyli, gdybyśmy nie tem, czem nas Pan Bóg stworzył, to jest Polakami, lecz czemś innem zostać chcieli. Płacimy wysokie podatki i składamy ciężko zapracowany grosz na szkoły, które nam takie krzywdy przynoszą".

To już nie propaganda polska, nie szlachta i duchowieństwo polskie, ale c. k. pruskie rozporządzenia były czynnikiem budzącym z uśpienia poczucie narodowości polskiej w zapomnianym prawie zakątku.

Petycję tą, żądającą stosownego zmodyfikowania rozporządzenia prezesa prowincji pruskiej z r. 1873, roztrząsano z pewnem zdumieniem w komisji Sejmu pruskiego, postanowiono jednak nie polecić jej do uwzględnienia pełnej Izbie sejmowej.

List do Redakcji.

(Spowiedź przy święconem.)

„Wiwat! aha, mamy przecie naszego kochanego, zacnego posła dobrodzieja. No chwała Bogu, toż sobie pogawędzimy, dowiemy się co tam tego, a może też i lżej będzie, jak się i poskarżymy. Łaskawco, dobrodzieju, siadajże, między nami... co będzie, to będzie, ale najprzód wiwat nasz poseł, wiwat!".

Kochani sąsiedzi, a goście moi w ten sposób przywitali i oblęgli posła, — który także na „święcone" do mnie w pierwsze święto łaskaw był przyjechać. Mógłbym wymienić jego zacne nazwisko bez niedyskrecji, ale wtedy musiałbym lepiej założyć na moją gęś, który po papierze (według Pola) umyśliłem orać, żeby Szanownej Redakcji przesłać wiadomość o sejmiku relacyjnym, który się jakoś ni z tego, ni z owego przy święconem zaimprowizował. Prawdę mówiąc, to ja tam nie bardzo rad byłem z tego, żeby zaraz posła, w takie święto brać na spytki, ani się też do polityki zbytecznie nie mieszam, zaczem wszakże nie idzie, żeby mnie sprawy publiczne nie miały obchodzić i żebym się nie starał ich zrozumieć. Tylko, że to jakoś, tak znienacka, przy barszczyku i kieliszku, przy niewiastach, nie było mi bardzo na rękę, żeby się nie wydawało, że to może ja ukartowałem taką obsesję poselskiej osoby.

Nie miałem też wcale zamiaru pisarkować, bo w ogóle (bez obrazy niczyjej niech to będzie) nie mam sympatji do tego nadużycia, którego sobie teraz wszędzie ludzie pozwalają, że już nie tylko co w domu, ale to nawet drukowaliby, co by w konfesjonale podsłuchali. Ale stało się coś, co mnie do kałamarza zasadziło. Oto chłopak mój (sprytny hultaj) który przyjechał na święta, a we Lwowie uczy się *stenografji*, jak się zaczęły debaty (jakie tam debaty — przy święconem — ale był wielki rozhowor) — otóż tedy nic nikomu nie mówiąc, zasiadł sobie w kąciku za piecem z notasikiem i dalejże kartka po kartce kreślić znaki jakieś kabalistyczne. Nic ja o tem nie wiedziałem, aż wieczorem gdy się goście już dawno rozjechali, znajduję na biurku mojem pod przyciskiem marmurowym (z Chęcian) całą relację napisaną już po ludzku. Zacząłem czytać i zdumiałem się naprawdę. Słowo w słowo spisał; — pobiegłem do matki, żeby jej to objawić, a ona powiada: Wiesz co... — a toż weź i poślij to do *Przeglądu*, wszak to warto... Więc i pokusa. Ale tak żywcem nie idzie, przepuszczam niejedno, a zostawię tylko to co główne z ust naszego posła mój chłopak pochwycił.

Więc jak to mówią *in medias res* — przepisuję co mi się potrzebnem wydaję prosto z brzegu:

......

— Cóż tam tedy Taaffe, trzyma się?

— O doskonale, nie ma żadnej obawy, już on sobie da radę ze wszystkimi.

— Ba, ale nie wiem czy dałby sobie radę bez Dunajewskiego i bez Ziemiałkowskiego.

— To pewna, nasi ministrowie nie jedzą chleba za darmo.

— Ale jakoś mało słychać o panu Florjanie?

— To już jego sztuka. Wszak on nie ma teki osobnej, ale nic się bez niego nie dzieje. A już jak przyjdzie nareszcie do uregulowania indemnizacji, to będzie on miał pierwszy głos. Trzeba też wiedzieć, że oprócz czynności opinjowania wszelkich spraw odnoszących się do Galicji, udają się do niego strony prywatne we wszelakich interesach, które z Wiednia i w Wiedniu mogą być poparte; a to zabiera czasu dużo i nie mało przysparza fatygi. W radzie zaś ministrów, to głos jego nader jest poważnym, hr. Taaffe wielce go ceni...

— Ale pan Dunajewski, lubo taki wielki ćwik we finansach, mógłby przecież jakoś w czemś ulżyć, wymyśleć jakieś sposoby, żeby nas fiskus tak nie dusił.

— Czytaliście panowie mowę p. Dunajewskiego w Izbie panów? Otóż zapowiedział on w niej jak się do rzeczy brać zamierza. Reformy podatków nie zawiesił na kołku, nie jest wcale przeciwnym obmyśleniu ulg w podatku gruntowym, ale trzeba zważyć, że państwo, to nie prywatne gospodarstwo. Ja mogę u siebie na wsi, jeżeli mnie przydusi, porobić różne ograniczenia wydatków — państwo tego nie może. Ja mogę próbować czy tego, czy owego, żeby dochody podnieść. Jeżeli mi się nie uda, to położę uszy po sobie, i nikomu nic do tego, żaden Herbst ani Knotz, nie będzie za to na mnie rzucał kloca. Państwo zaś na hazardy puszczać się nie może. A cóż dopiero pomyśleć, gdyby minister Polak był temu winien, gdyby finanse były złe, gdyby brakło na potrzeby, albo gdyby jakie obliczenia chybiły. Toż to byłoby urwanie głowy. Nie trzeba zapominać, że tylko p. Dunajewskiemu zawdzięczamy, iż Galicja płaci o dwa miljony podatku gruntowego mniej. Niechże się tylko kryzys ekonomiczna i rolnicza przewali, niechże normalne stosunki zaczną wracać, a zobaczymy, że p. Dunajewski energicznie, ale bez eksperymentów, bez prób i skoków, praktycznie zabierze się do reformy podatków, głównie w tym celu, żeby ich rozkład był sprawiedliwy, a żeby dochody państwa nie skurczyły się...

— Co prawda, to Dunajewski imponuje w Wiedniu — a i to prawda, że od razu nikt porządku nie zrobi — co tam, wnoszę: Wiwat minister Dunajewski!

— Wiwat! oby mu się udało jak najlepiej dla nas i dla państwa. Bo to przecie nie przelewki, ot i ten landszturm, także się nie obejdzie bez pieniędzy — a landszturm musi być, owszem niech będzie, to się jeszcze pokaże mospanie, że my żyjemy. Byle tylko było o co bić się. Ja i tam wierzę, że się zanosi na wielkie rzeczy

radbym tylko, żeby jak przyjdzie co do czego, byli tam w Wiedniu nasi ministrowie i pan Kazimierz żeby był zdrów i długo jeszcze mądrze Koło nasze prowadził...

Szanowną Redakcję przepraszam, że tu przerywam. Ciąg dalszy przepiszę we wtorek — bo przecie w poniedziałek muszę i ja znowu tu i ówdzie wyruszyć na święcone jajko. Ale skorom już zaczął, to proszę liczyć na to, że do końca przepiszę, a słowo daję na to, że nic nie komponuję, że więc jeżeli uznacie za dobre, żeby drukować, to tylko wystawicie źwierciadło prawdzie.

Wasz sługa i przyjaciel

X. X.

(Prosimy bardzo o dalszy ciąg. *Redakcja).*

Czas odnowić Przedpłatę.

KRONIKA.

Dar. Najjaśniejszy Pan udzielił z prywatnej swej szkatuły gminie Olechowice, na budowę szkoły, zapomogi w kwocie 100 zł., a gminie Rzeczyczany na rozszerzenie budynku szkolnego 50 zł.

Mianowania. J. E. p. Namiestnik zamianował podoficera rachunkowego I klasy przy 55 pułku piechoty w Brzeżanach Jana Makohońskiego, stałym, i wachmistrza rachunkowego przy 30 pułku piechody Teodora Kowalskiego, prowizorycznym kancelistą c. k. Namiestnictwa, i przeznaczył pierwszego po służby przy c. k. starostwie w Pilznie, a drugiego w Tłumaczu.

Ustne egzamina dojrzałości w szkołach średnich rozpoczną się w bież. roku:

A) W gimnazjaah: 1. w Brodach 26 lipca, 2. w Brzeżanach 15 czerwca, 3. w Drohobyczu 7 lipca, 4. w Jaśle 4 czerwca, 5. w Kołomyi 26 czerwca, 6. w gimnazjum św. Anny w Krakowie 21 czerwca, 7. w gimnazjum św. Jacka w Krakowie 10 czerwca, 8. w gimnazjum III w Krakowie 11 czerwca, 9. w gimnazjum akademickim we Lwowie 18 czerwca, 10. w gimnazjum II we Lwowie 28 czerwca, 11. w gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie 7 czerwca, 12. w gimnazjum IV we Lwowie 23 czerwca, 13. w Nowym Sączu 28 czerwca, 14 w Przemyślu 10 lipca, 15, w Rzeszowie 31 maja, 16. w Samborze 24 lipca, 17. w Stanisławowie 26 czerwca, 18. w Tarnopolu 9 lipca, 19. w Tarnowie 4 czerwca, 20. w Wadowicach 31 maja, 21. w Złoczowie 21 lipca.

B) W szkołach realnych: 22. w Jarosławiu 1 czerwca, 23. w Krakowie 4 czerwca, 24. we Lwowie 11 czerwca, 25. w Stanisławowie 6 lipca, 26. w Stryju 5 lipca.

Ostrzeżenie. Przestrzega się publiczność przed młodą kobietą, wzrostu średniego, owalnej twarzy, liczącą lat około 20, która pod pozorem. że jest eksternistką klasztoru Sióstr ubogich w Krakowie, uwija się po Lwowie i okolicy, ubrana w habit czarny klasztorny, w biały czepek z rurkowaną szlarką, z różańcem przy boku, i kwestuje u łatwowiernych rzekomo na rzecz małych dzieci, sierot, podając, że je wychowuje i niemi się opiekuje.

W „Ojczyźnie“ czytamy: Wzruszający wypadek zdarzył się niedawno w Jersey City. Pewien młody mężczyzna wrócił wieczorem z prześlicznym pączkiem róży do domu, i zastał swą matkę siedzącą przy stole, z głową wspartą na ręku. Myśląc, że matka zdrzymnęła się, podszedł po cichu i włożył jej pączek we włosy. Ale przypatrzywszy się jej lepiej, z krzykiem padł na ziemię; przekonał się bowiem, że przyozdobił trupa matki, która przed chwilą w skutek apopleksji zakończyła życie.

Z Sofji, stolicy Bułgarji donoszą: Podczas kiedy dotąd nigdy o Polsce i o Polakach w pismach bułgarskich nie było wzmianki, to odkąd poczęła się polemika pomiędzy pismami rosyjskiemi a bułgarskiemi, coraz częściej jest mowa o rzeczach polskich w pismach tutejszych, gdzie się ciągle powtarza zwrotka, że Bułgarzy bynajmniej nie mają ochoty stać się prowincją rosyjską i doznawać losu Polaków. *Tirnowska Konstytucja*, organ Karawelowa umieściła artykuł o prawach antipolskich w Prusach a potępiający je równie jak i podział Polski, jednak w tym artykule, wiele fałszywych i krzywdzących Polaków wydrukowała rzeczy, że żyli z zdobyczy, że uciskali obce im narodowości, a mianowicie Rusinów, że ich i dziś uciskają w Galicji, że chcą przywrócić poddaństwo, że w reichsracie wiedeńskim głosują z Niemcami przeciw Słowianom. Jeden też z tutejszych Polaków odpowiedział na to w *Tirn. Konst.* w obszernym artykule, który tu nie mało zrobił wrażenie. Obecnie pragną wejść Bułgarzy w bliższe stosunki z Polakami, jako też ze wszystkiemi Słowianami austrjackiemi.

Znowu pożar. Wczoraj po południu o godzinie 3, wybuchł pożar we wsi Dobrowlany koło Drohobycza. Straż z Drohobycza udała się na miejsce pożaru, który przybrał ogromne rozmiary.

Marszałek dr. Zyblikiewicz powrócił wczoraj z podróży po Włoszech do Krakowa. Znajduje się w wybornym stanie zdrowia. Wiadomości o ostatnich klęskach w kraju przyspieszyły powrót pana Marszałka.

Ściślejszy komitet pomocy został wybrany z łona komitetu krajowego dla Stryja.

W skład jego wchodzą panowie: JE. Namiestnik, JE. ks. A. Sapieha, ks. biskup Puzyna, Oktaw Pietruski, Loebl, Wład. hr. Badeni, br. Zygmunt Romaszkan, Ant. br. Golejewski, dr. Zdzisław Marchwicki, dr. Zgórski, ks. Wieliczko, dr. Roiński, Wacław Dąbrowski, Simon, dr. Wereszczyński, Lazarus, dr. Gross, dr. Zucker.

Pp. Loebl i bar. Romaszkan wyjechali jako delegaci komitetu do Stryja.

Oprócz wymienionych już w naszem piśmie datków familji cesarskiej, złożyli na rzecz pogorzelców: Najjaśniejsza Pani 500 zł., arcyksiążę Albrecht 1000 zł.

Na listę księżnej Croy, która jak donieśliśmy, zawiązała w Wiedniu komitet pomocy z dam złożony, złożyli:

Arcyks. Ludwik Wiktor 100 zł., ks. Nassau 1000 zł., bar. Maur. Königswarter 1000 zł., bar Karolina Königswarter 500 zł., N. N. 500zł., dr. Arnold Rappaport 300 zł., ks. Clary 500 zł., księstwo Hohenlohe 200 zł., radzca dworu Hahn 205 zł., hr. Ludwikowa Wodzicka 200 zł., br. Drasche 200 zł., ks. Fr. Auersperg 100 zł., księstwo Croy 100 zł., Albert Laurans 100 zł., bar. Bourgoing 100 zł., hr. Clam Gallas 100 zł., hr. Schönborn 50 zł., ks. Kińsky 50 zł., ks. Józef Arnsberg 50 zł., ks. Khevenhüller 10 zł., ks. Schönburg 10 zł., Wojciech v. Zinner 100 zł., książę i księżna Adolf Schwarzenberg 200 zł.

Morawski Wydział krajowy ofiarował na rzecz Stryja 1000 zł.

Z poezji gruzińskiej. W Warszawie opuściła prasę drukarską książeczka, opisująca podróż po Gruzji. W książce tej znajdujemy podany w przekładzie wierszyk jednego z najznakomitszych współczesnych poetów gruzińskich, księcia Eljasza Czawczawadze. Przekład ten nie jest zbyt staranny co do formy, daje jednak pewne wyobrażenie o utworze. Nosi on tytuł „Elegja“ i tak opiewa:

W smętnym blasku księżycowej nocy,
Śpią doliny mojej Gruzji drogiej,
A nad niemi, w nieba wysokościach,
Lśnią lodowce w swej jasności błogiej.
Cicho! nawet mnie synowi swemu,
Nic nie szepcze ta rodzinna niwa...
Śpiący Gruzin nawet przez sen jęczy,
Bo mu dola śni się — nieszczęśliwa.
Sam tu stoję! Cień tych gór wysokich,
Zda się stróżem być tej długiej nocy..,
O! kraino, kiedyż się przebudzisz,
Ze snu tego i z ciężkiej niemocy?

Sprawozdanie meteorologiczne z dnia 26 kwietnia 1886, 9 godz. rano.

Przy wietrze o zmiennym kierunku od N. przez E. do SW., mieliśmy dobę pogodną przy czystem prawie niebie. Średnia temperatura dnia wczorajszego była 7.8^0, najwyższa 14°, najniższa w nocy 6.8^0 C.

Prognoza na dobę następną od godziny 12-tej w południe dnia 28 kwietnia w promieniu 50 kilometrów:

Wiatr zachodnio-południowy, średnia temperatura dnia około 13^0 C., zachmurzenie się powiększa, powietrze wilgotne i skłonne do burzy, dziś pogodnie, w nocy a najdalej jutro deszcz.

Sir Wiliam Withe, zwycięski przedstawiciel W. Brytanji na konferencji konstantynopolitańskiej, przepędził u nas — pisze *Czas* — pierwszy dzień świąt. Przybył on do Krakowa dla odwiedzenia przyjaciół, a mianowicie hr. Adama Sierakowskiego, z którym dawne a serdeczne łączą go stosunki. Sir W. Withe zamieszkał „pod baranami“ i pierwszy dzień pobytu poświęcił zwiedzaniu wraz z córką starożytności Krakowa, między innemi muzeum Czartoryskich, gdzie dłuższy przebywał czas. Jednym z celów bowiem znakomitego dyplomaty, było pokazanie młodziutkiej córce Krakowa, oraz polskiego święconego. W pierwszy też dzień świąt przybył na święcone do hr. Kazimierzów Badenich

---

11)

UARDA.

Romans z dziejów starego Egiptu.

Przez

Jerzego Ebersa.

(Ciąg dalszy).

Pentaur nie odpowiedział nic staremu, który też potem nie zważał już na niego, gdyż na rozkaz lekarza rozcierał podeszwy chorej, a ręce jego podniecone troskliwością ojcowską, zostawały w nieustannym ruchu, niby koło z czerpakami na Nilu, które rzeka w ciągłym obrocie utrzymuje.

— Czyżby nieszczęście miało oczyszczać nieczystego? — pytał sam siebie Pentaur. — Zaprawdę, posiada ono moc oczyszczającą, i miałożby bóstwo, które ogniowi dało siłę czyszczenia kruszcu a wiatrom siłę spędzania chmur z niebieskiego sklepienia, chcieć, aby człowiek, istota na jego podobieństwo stworzona, pozostawał od urodzenia aż do śmierci napiętnowany plamą, zmyć się nie dającą?

Spojrzał na paraschitę, i twarz jego zdawała mu się być do twarzy jego ojca podobną.

To przeraziło go.

A gdy widział, jak kobieta, na której łonie głowa dziecka spoczywała, trwożliwie, niby gołąb, na którego jastrząb czycha, nachylała się nad ranną pierś dziewczęcia, przysłuchując się jej oddechowi, który zdawał się jej ustawać, przypomniał sobie chwilę z własnego dzieciństwa, kiedy gorączką trawiony leżał na swojem łóżeczku. Co się wtedy w nim i dokoła niego działo, dawno już zapomniał, ale jeden obraz utkwił głęboko w jego duszy — był to obraz unoszącego się nad nim, śmiertelną trwogą zdjętego oblicza jego matki, której oczy jednak nie patrzały ani tkliwiej, ani z większą troskliwością na chorego syna, jak oczy kobiety potępionej na jej cierpiące dziecko.

— Jedna jest tylko zupełnie niesamolubna, zupełnie czysta, zupełnie boska miłość — pomyślał sobie — miłość Izydy dla Horusa, matki dla dziecka. Gdyby ci ludzie byli rzeczywiście tak nieczystemi, żeby kalali wszystko, czego dotkną, jakżeby te szlachetne, tkliwe, święte popędy, mogły w nich czystość i piękność swoję zachować?

— Ale bogowie—myślał dalej—nawet w pierś lwicy i tyfonicznego konia rzecznego kładą miłość macierzyńską!

Zamyślony przyglądał się żonie paraschity.

I ujrzał, jak ciemna jej twarz odwróciła się od chorej. Usłyszała jej oddech i uśmiech szczęścia rozjaśnił jej podeszłe oblicze; dała znak najprzód lekarzowi, a potem odetchnąwszy głęboko, swemu mężowi, który nie puszczając z lewej ręki podeszwy chorej, prawą podniósł w górę dziękczynnie, co też i żona jego uczyniła...

Pentaurowi zdało się, że widzi dusze obojga w świętej harmonji unoszące się nad młodą istotą, która ręce ich łączyła, i znów przyszedł mu na myśl dom rodzicielski i chwila, w której jego rozkoszna, jedyna siostrzyczka umarła. Wtedy matka jego z płaczem rzuciła się na bladą dziecinę, a ojciec tupnął nogą, głowę łkając odrzucił w tył i pięścią w czoło się uderzył.

— Jakże ci nieczyści są pobożni i wdzięczni— myślał Pentaur i niechęć do starego prawa poczęła w sercu jego zapuszczać korzenie. Miłość macierzyńska tkwi w hyenie, ale Boga szukać i znaleść może tylko człowiek do szlachetnych celów zdążający. Zwierzętom nie dano sięgać myślą nieskończoności, — a bóstwo jest wieczne; one nie mogą się nawet uśmiechnąć. — Nie uśmiecha się też i człowiek w pierwszych dniach swego żywota, gdyż wtedy ożywia go tylko siła żywotna, dusza zwierzęca; wkrótce jednak cząstka duszy świata, wyższej inteligencji, poczyna w nim działać i po raz pierwszy ukazuje się uśmiech dziecięcia, równie czysty jak światło i prawda, od których pochodzi. — Dziecko paraschity uśmiecha się jak inna, z kobiety urodzona istota, ale jakże mało zdarza się ludzi starszych, nawet wśród wtajemniczonych, którzyby się tak czysto i błogo uśmiechać mogli, jak ta kobieta, która się wśród samych goryczy postarzała.

Głębokie współczucie zaczęło przejmować jego serce i ukląkł obok biednego dziewczęcia, wzniósł ręce do góry i modlił się gorąco do tego Jedynego, który niebo stworzył i światem rządzi, do Jedynego, którego mu mysterjum wspominać nie pozwalało, a nie do tych niezliczonych bóstw, które czcił lud, a które dla niego były tylko ucieleśnionemi dla ułatwienia ich pojęcia profanom, własnościami jednego, jedynego Boga wtajemniczonych, do których i on należał.

W namiętnem wzruszeniu wzniósł ducha do Boga, ale nie modlił się za dziecko paraschity i jego wyzdrowienie, ale za cały ten ród potępionych, i za uwolnienie go z pod starej klątwy, o ulgę duszy swojej wątpliwościami miotanej, i siłę do roztropnego spełnienia swego zadania.

Wzrok chorej zwrócił się za nim, gdy dawne miejsce zajął napowrót.

Modlitwa orzeźwiła go i wróciła mu zwykłą swobodę ducha. Zaczął się zastanawiać nad tem, jak się ma względem królewnej zachować.

Nie po raz pierwszy wczoraj spotkał on Bent-Anat; nieraz widywał ją na uroczystych procesjach i wielkich świętach w nekropolji i wraz z towarzyszami swemi podziwiał jej dumną piękność, jak podziwiamy blask gwiazdy, do której

i oczywiście stał się przedmiotem ogólnego zajęcia i punktem środkowym rozmów. Po święconem szanowny gość nasz udał się na pociąg warszawski, obrócił bowiem drogę do Londynu na Warszawę, którą także chciał córce pokazać, a z którą łączą go dawne wspomnienia, mianowicie z czasów, gdy był tam konsularnym przedstawicielem Anglji. Sir. W. Withe przepędzi czas sezonu i posiedzeń parlamentu w Londynie, a następnie powróci na swoję posadę do Bukaresztu.

Rzeź chrześcian. Na wschodnim brzegu morza Czerwonego leży w Arabji małe państewko El-Harra. Sułtan tego kraiku wydał rozkaz wyrznięcia wszystkich chrześcian, przebywających na podległym mu obszarze, sam zaś na czele 200 żołnierzy napadł na wyprawę hr. Porro, podróżnika włoskiego, i wymordował wszystkich członków tej naukowej ekspedycji, eskortę zaś, złożoną z krajowców wziął do niewoli.

Taki telegram otrzymał z Adenu gabinet włoski, i udał się wprost do Londynu z zapytaniem, co Anglja w tej mierze pocznie, i jak myśli tego sułtana ukarać.

Sejm Czteroletni. Druga część drugiego tomu tego znakomitego dzieła ks. Walerjana Kalinki, wyszła już z pod prasy — i jest do nabycia w księgarni pp. Seyfartha i Czaykowskiego.

Wydział stowarzyszenia rękodz. lwow. „Gwiazda“ urządza przedstawienie amatorskie na korzyść dotkniętych pożarem mieszkańców m. Stryja i Liska w niedzielę dnia 2 maja 1886, w lokalu własnym przy ulicy Franciszkańskiej l. 7. Odegrana będzie „Gwiazda Syberji“, dramat Leopolda hrabiego Starzyńskiego.

Z Wiednia donoszą: „Sąd kryminalny był dziś widownią tragicznego zdarzenia. Przed kratkami miał stanąć dr. Hanisch adwokat i przedtem deputowany do Rady państwa, obecnie oskarżony o zbrodnię sprzeniewierzenia. Bezpośrednio przed rozpoczęciem rozprawy koło drzwi sali rozległ się huk strzału. Pochodził on z rewolworu oskarżonego, który sobie życie odebrał. Śmierć nastąpiła w jednej chwili.

Ogólne zgromadzenie Związku włościan austrjackich uchwaliło dziś rezolucję, żądającą zamiany obecnego parlamentu na Radę ekonomiczną, wychodzącą z powszechnych wyborów. Wyznaczono deputację, która rezolucję tę ma wręczyć cesarzowi z prośbą o zmianę konstytucji we wskazanym kierunku. Deputacja ta składać się będzie z dziesięciu włościan, wybranych, ze wszystkich krajów koronnych.

Kuracja u Pasteura. Jeden z dwóch Rosjan pokąsanych przez psa wściekłego, a leczących się od dwudziestu dni u Pasteura umarł. W niedzielę okazały się pierwsze symptomata wodowstrętu. — W poniedziałek zażądał wody do picia, dano mu szklankę i po raz pierwszy zdarzyło się, że dotknięty wodowstrętem pił wodę. Przypisują to metodzie Pasteura. Atoli kurcze żołądkowe i piersiowe były już zbyt silne, żeby chory uledz nie miał. — Onegdaj przybyło do Pasteura ośm Arabów, z których trzej są pokąsani. Są to członkowie jednej familji, a żaden z nich nie chciał odstąpić chorych. Umieszczono ich w podrzędnym hotelu.

W Petersburgu pokąsał pies wściekły porucznika 75 batalionu piechoty, Dziewulskiego, Polaka. Koledzy złożyli natychmiast 750 rs. w drodze składki celem wysłania nieszczęśliwego do Pasteura w towarzystwie lekarza moskiewskiego pułku.

O podróży do Afryki Rogozińskiego i Janikowskiego wypowiada następujące bardzo słuszne zdanie Bolesław Prus w swej ostatniej „kronice“ w *Kurjerze Warszawskim*. Oto bowiem co mówi:

„Dziś mamy nieco dokładniejsze pojęcie o tem, co niektórzy żartami nazywali „naszą pierwszą wyprawą afrykańską“, a co było naprawdę poważną wyprawą do zachodniej Afryki.

Przedewszystkiem wyprawa odbyła się za własne pieniądze Szolca-Rogozińskiego. Kraj zaś, nieposiadający, jak wiadomo, szosy z Michowa do Końskowoli, ofiarował podróżnikom, za pośrednictwem ś. p. Sulimierskiego, pewną liczbę naukowych narzędzi, wartujących około 400 rs., a za pośrednictwem innych publicystów garstkę błogosławieństw w formie: „młodzi awanturnicy“, „ludzie bez naukowych przygotowań“, „młodzież nie dająca rękojmi“ itd.

Tymczasem „młodzież nie dająca rękojmi“ w ciągu trzechletniego pobytu w Afryce z bardzo skromnemi funduszami dokonała następnych rzeczy:

Zbadała i zdjęła mapy ogromnego terenu gór Kameruńskich.

Przeszedłszy góry, wkroczyła w kraje Bakundu, dotychczas europejczykom nieznane.

Zbadała rzekę Mungo, znaną tylko przy ujściu.

Odkryła jezioro Mbu czyli Słoniowe i źródło rzeki Rio del Rey, których oddawna bezskutecznie szukano.

Na pociechę amatorów kaloszy odkryła wielkie lasy drzew gutaperkowych, o istnieniu których nie wiedzieli krajowcy, ani faktorje.

Robiła obserwacje meteorologiczne, tudzież zbierała okazy z dziedziny etnografji, antropologji i nauk przyrodniczych i ofiarowała je w części muzeum Baranieckiego, w części Akademji nauk.

Nareszcie ułożyła słownik wyrazów kameruńskich.

Rezultaty tych prac znane są Towarzystwom jeograficznym w Paryżu i Londynie i oznaczone na mapach. Nabiorą zapewne większego rozgłosu, gdy ukażą się w formie ścisłych sprawozdań.

Trzeba jeszcze dodać, co przynosi największy zaszczyt podróżnikom, że z miejscową ludnością postępowali uczciwie. Sławny Stanley poprostu mordował ludzi kolorowych, ale Rogoziński i Janikowski byli ich przyjaciółmi. Odbiło się to nawet na stosunkach z Niemcami.

I jeszcze godzi się dodać, że podróżnicy, nabywszy państewko, obejmujące około 15 mil kwadratowych, osadzili w niem misjonarzy, troszcząc się nie o wyzyskiwanie czarnych, ale o oświatę i nauczenie ich rzemiósł.

Trudno w końcu pominąć pewnej cechy podróżników, która u nas stanowi najosobliwszy towar, mianowicie ich prostotę i skromność. Gdyby warszawski reporter przejechał z miasta do Marcelina, a następnie miał o tej podróży odczyt, usłyszelibyśmy taką masę wściekłych przygód, że w sali ratuszowej niezbędnym okazałby się ambulans dla cucenia zemdlonych pań. Ci przeciwnie, o swoich przygodach nic nie mówią, choć na owym spacerze musiały się dziać rzeczy bardzo rozmaite, skoro dwaj członkowie wyprawy odrazu zrejterowali, jeden umarł, trzydziestoletni Janikowski osiwiał, niemieccy kapitanowie okrętów strzelali czasem z kartaczownic, a sam ks. Bismarck rozgniewał się. Tylko Rogoziński nie stracił humoru i z dawnym wdziękiem zakręca niezbyt zresztą piorunujące wąsy, pilnie bacząc, ażeby przytem podnosić do góry mały palec, co oznaczy szyk i robi silne wrażenie na płci pięknej.

— Dobrze to jest — odpowiedzą moi przyjaciele z opozycji — ale dlaczego Rogoziński i Janikowski, zamiast badać Afrykę, nie zajęli się raczej własnym krajem?

Czy to u nas nie ma nieznanych szczegółów etnograficznych i antropologicznych? Czy nie brakuje słownika ludowych narzeczy? Czy w końcu nie ma ludności, którą wartoby nauczyć rzemiosł, nie ma terytorjów do nabycia, albo Niemców do niedopuszczenia?

Słowem, wszystko to, co robili w Afryce, mogli robić u nas. Mogli nawet poszukiwać takich nieznanych lasów, którychby nikt nie wycinał i nie zadłużał. Dlaczegoż więc nie pracują między nami?

Ach! szanowna opozycjo, wasze skądinąd rozsądne pytanie dotknęło najgłębszych zagadnień duszy ludzkiej.

— Ludzie — mówił mi pewien pogromca zwierząt — są jako ptaki. Jeden, niby kanarek, jest szczęśliwy tylko w klatce, byle miał co południe obiad z piwem i wint po zachodzie słońca. Drugi, jak wróbel, unika klatek i żyje na swem podwórku w biedzie, ale swobodny. Inny, jak europejskie ptactwo przelotne, tylko pół roku siedzi w kraju, a przez drugą połowę koczuje po zagranicznych hotelach i restauracjach, zasilając cudze kuchnie mięsem, które wytuczyło się na naszych łanach.

Ale są też ludzie podobni do jaskółek i bocianiów, których, gdy przyjdzie czas, tęsknota pcha aż do Afryki. Ci wskazują nowe lądy żeglarzom; grając zaś w winta na miejscu, zmarnowaliby się bez pożytku.

Pozwólmy więc jechać pod równik tym, których ciągnie instynkt. Są oni robotnikami w warsztacie cywilizacji powszechnej, a i dla własnego kraju nieskończenie użyteczniejsi od setek tysięcy wędrowców, którzy tułają się między wiedeńskim kafeehausem, paryską salą tańca i domem gry w Monaco.“

Smutna katastrofa miała miejsce w Murraysville, stacji pocztowej w prowincji Westmoreland, o osiemnaście mil od Pittsburga (zachodnia Pensylwania) położonej. W wymienionej miejscowości do oświetlania i ogrzewania używany jest gaz naturalny, sprowadzany, jak zazwyczaj, z pięciu wielkich źródeł za pomocą rur. W ubiegłym tygodniu pęknięcie jednej z rur spowodowało ulotnienie się gazu w znacznej ilości tak, że niebawem przepełnił on atmosferę i przedostał się do domów. Zanim zdołano

---

zbliżyć się niepodobna, albo wieczorną zorzę na dalekim widnokręgu.

Teraz miał do tej kobiety z ostrem napomnieniem przemówić.

Wyobrażał sobie chwilę w której do niej przystąpi, i nie mógł się opędzić wspomnieniu jednego ze swoich mistrzów, maluczkiego Chufu, którego on już jako chłopiec o dwie głowy przerastał, i który dla tego zawsze „z dołu do góry“ napomnienia i nauki mu dawał. Wprawdzie on był wysmukły i wysoki, a jednak zdawało mu się, że dziś w obec Bent-Anat rolę owego maluczkiego człowieczka odegra.

Umysł jego skłonny do komizmu, czuł się tem położeniem podniecony i domagał się praw swoich po chwilach tak poważnie i w takiem otoczeniu spędzonych. Przebiegł oczyma tę jedyną, niską, ludźmi napełnioną izbę w chacie paraschity i niby błyskawica zjawiła się w jego głowie myśl: „Jak królewna pomieści się tutaj ze swoim wielkim orszakiem“.

Żywa jego wyobraźnia przedstawiła mu zaraz, jak córka Faraonów z koroną na dumnej głowie wkroczy w tę cichą ustroń, a za nią wtłoczą się gadatliwi jej dworzanie i odepchną od ścian kobiety, od chorej lekarzy, a białego kota spędzą ze skrzyni, na której siedział. Musi powstać zamęt okropny! Potem wystawił sobie, jak wystrojeni panowie i panie trwożliwie unikać będą nieczystych, jak usta i nosy delikatnemi będą zatykać rękami, a staremu kłaść w uszy jak się ma znaleść w obec córy królewskiej, która go odwiedzinami swemi uszczęśliwiła. Staruszka będzie musiała spoczywającą na jej łonie głowę, paraschita nogi swego dziecięcia, które tak troskliwie rozcierał, opuścić na ziemię, powstać i proch przed Bent-Anat całować.

Przytem — wszystko to stawało przed oczyma duszy kapłana — dworacy popychali się, uciekali przed nim i tłoczyli się w jednym kącie izby; wreszcie królewna rzuciła ojcu, matce, a może i choremu dziewczęciu kilka srebrnych i złotych pierścieni i zdało mu się, że słyszy dworaków wołających: „Chwała łaskawości córy Słońca!“ i okrzyk radosny wypchniętych z chaty kobiet, i że widzi całą tę świetną hałastrę opuszczającą mieszkanie potępionego, w którem teraz zamiast coraz głośniej oddychającej, miłej dziewczynki, leży cichy trup na zniszczonej macie, a zamiast dwojga rodziców z troskliwością czatujących przy jej nogach i głowie, siedzi dwoje nieszczęśliwych zrozpaczonych i zawodzących jęki.

Ognistą duszę Pentaura przejął gniew. Postanowił, jak tylko królewna się zbliży, zastąpić jej we drzwiach chaty, wzbronić jej wstępu i surowemi przyjąć ją słowami.

Ją pewnie nie miłość bliźniego tutaj sprowadzi!

— Zachciało im się na dworze jakiejś zmiany czegoś nowego — myślał sobie — bo za mało mają zabaw, podczas gdy król jest zagranicą z wojskami. Próżność podszepnęła wielmożom, żeby też choć raz stanęli obok maluczkich, a radziby też żeby ludzie ich dobroć serca sławili. Gdy się więc jak na to zdarzy taki mały wypadek, nie pomyślą nawet o tem, czy łaska ich spłynie na biednego błogosławieństwem, czy ciężarem spadnie na niego.

Zacisnęł zęby ze złości i nie myślał już o zanieczyszczeniu jakie królewnie groziło ze strony paraschity, ale jedynie o zbeszczeszczeniu, na jakie z jej strony najświętsze uczucia w tej cichej izbie narażone będą.

Rozmarzony i wzburzony, pewny był, że wymownym jego ustom nie zbraknie dosadnych wyrazów.

Niby duch światła, wznoszący broń na zniszczenie ducha ciemności, powstał, wyprostował się i głęboko oddychając natężył słuch ku dolinie, aby zawczasu usłyszeć nawoływania laufrów i turkot kół świetnego orszaku.

W tem ujrzał, jak otwór we drzwiach pociemniał i jakaś mocno schylona postać, z rękami skrzyżowanemi na piersiach weszła do izby i milcząc usiadła przy chorej. Lekarze i starzy poruszyli się i chcieli powstać; ale ona, nie poruszywszy ustami, z wyrazistem, wilgotnem spojrzeniem skinęła na nich, żeby pozostali na miejscu, długo i miłościwie wpatrywała się w twarz chorej, pogłaskała białe jej ramię i zwracając się do starej szepnęła:

— Jakaż ona piękna!

Paraschitka skinęła głową potakująco a dziewczę uśmiechnęło się i poruszyło wargami, jakby zrozumiało wyrazy i chciało przemówić.

Bent-Anat wyjęła różę z włosów swoich i położyła jej na piersi.

Paraschita nie wypuścił z rąk nóg dziewczęcia, śledził jednak każde poruszenie królewnej i rzekł na to:

— Niech ci to wynagrodzi Hator, który ci dał twoję piękność.

Córa królewska zwróciła się wtedy ku niemu, i ciągle klęcząc przy chorej, rzekła:

— Przebacz mi boleść, którą wam niechcący zrządziłam!

Starzec zerwał się, puścił nogi chorej i donośnym, dźwięcznym głosem zapytał:

— Czyś ty Bent-Anat?

— Ja nią jestem — odrzekła królewna pochylona ciągle i tak cicho, jakby się swego dumnego imienia wstydziła.

Oczy starego zapałały i rzekł po cichu ale stanowczo:

— A więc opuść moję chatę, bo ona cię zanieczyści.

— Nie wprzód, aż mi przebaczysz com niechcący uczyniła!

(C. d. n.)

uszkodzoną rurę zreperować, nastąpiła straszliwa eksplozja w domu niejakiej pani Taylor, która wraz z trojgiem swoich dzieci, teściem i przyjaciółką, przybyłą w odwiedziny, została spalona. Płomienie ogarnęły siedm domów, a wszelkie usiłowania zakręcenia rur gazowych pozostały bez skutku. Na domiar nieszczęścia jedno ze źródeł gazowych zapaliło się i płomienie strzelały z głębi ziemi na 150 stóp wysokości. Pożarowi źródła towarzyszył niesłychany huk i łoskot. Ogień trwał przez trzy dni i trzy noce, zanim zdołano go ugasić wspólnemi usiłowaniami trzystu osób. Upał od ognia był tak straszny, że mieszkańcy uciekali z domów, zaś atmosfera przesiąknięta duszącemi gazami, czyniła pobyt na powietrzu niemożliwym.

Rozbicie się okrętu Oregon. Parowiec ten zatonął dnia 14. z. m. w pobliżu Newego Jorku zupełnie niespodzianie. Nie przeczuwała czegoś podobnego nawet załoga i pasażerowie.

Mimo brzydkiego powietrza „Oregon" posuwał się w pierwszych dniach podróży bardzo szybko po powierzchni morza. Potem nastała śliczna pogoda i wszyscy byli dobrej myśli.

W sobotę (13 marca) około dwunastej w nocy spoczywali już pasażerowie co do jednego we śnie. Niedługo miał trwać ten spoczynek.

Oto co pisze naoczny świadek nieszczęśliwego tego wypadku:

„O kwadrans na piątą rano wpadł do naszej kajuty sternik, wołając: „*Get on deck, sir, quick!* (Idź pan na pokład, szybko!)" — Nie mieliśmy nawet czasu zapytać o powód tego wezwania, bo przybysz pomknął natychmiast dalej. Tymczasem usłyszeliśmy, że nad naszemi głowami ludzie to tam to sam biegali; równocześnie to otwierano to zamykano drzwi kajut; słowem coś się stać musiało. Nigdy jeszcze tak szybko się nie ubrałem, jak tego rana. Na pokładzie zastaliśmy już pasażerów pierwszej klasy, ubranych tylko częściowo i widocznie przerażonych. Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że „Oregon" w nocy skutkiem uderzenia otrzymał pod salą jadalną dwa wyłomy.

„Strzały alarmowe i flagi niebezpieczeństwa pozostały bez skutku. Łódź parowa, która nas spotkała, w odpowiedź spaliła kilka rakiet, ale popłynęła dalej.

„A byłto przedziwnie pogodny poranek. Gwiazdy na niebie przygasały, ustępując miejsca słońcu, które powoli na wschodzie poczęło się wydostawać nad powierzchnię morza. W nocy mieliśmy przymrozek, skutkiem czego pokład „Oregona" pokrył się lekką warstwą szronu. Około godziny siódmej udało nam się zwabić jakiś mały statek sygnałami alarmowemi. O ósmej kapitan rozkazał spuścić łódki ratunkowe, aby niemi przewieść kobiety i dzieci do statku. Komendę wykonano z całą skrupulatnością i wkrótce łódki przepełnione kobietami wypłynęły na ocean. Kiedy już nie było na okręcie kobiet ani dzieci, natenczas pozwolono także mężczyznom udać się do łódek.

„W ten sposób i statek i łódki ratunkowe były wkrótce pełne rozbitków; ale wielu jeszcze pozostało na okręcie, a dla tych nie odsłaniała się już znikąd nawet możliwość jakiegoś ratunku. Naturalnie zaraz od początku zaopatrzyliśmy się w ratunkowe gurty; teraz uczynili to samo oficerowie i kapitan. Sytuacja stawała się coraz przykrzejszą. Jeden z moich towarzyszów dostał się ostatni na łódkę. Wprawdzie musiał przykucnąć na samym brzegu i nie brać za złe, jeśli fale obchodziły się z nim niezbyt grzecznie, ale zawsze był już na łódce, ocalony. Ja i Hopkins znajdowaliśmy się między pozostałymi na pokładzie „Oregona", który tonął coraz głębiej. W tej krytycznej chwili pojawił się drugi statek i zabrał pasażerów łódek; ale upłynęła cała godzina, zanim pierwsza łódka powróciła do naszego „Oregona".

„Parowiec ten — jak wspomniałem — tonął coraz głębiej. Ściskaliśmy gurty ratunkowe i każdy oglądał się czy nie ujrzy jakiego przedmiotu pływającego, bo lepiej przecież skoczyć w morze, niż być porwanym w głąb jego przez zapadający parowiec.

„O godzinie jedenastej, stosując się do komendy, stanęliśmy wszyscy pod mostkiem kapitana. Rozpoczęto liczenie, było nas jeszcze 204 ludzi. — Dzwon okrętowy uderzał nieustannie na znak rosnącego niebezpieczeństwa. Wreszcie łódki ratunkowe powróciły; w mgnieniu oka były pełne aż po brzegi. Hopkinsa jeden z majtków porwał za kołnierz i tak go przeniósł do łodzi. Ja dostałem się z pokładu po linie. W godzinę później nie było już na pokładzie „Oregona" ani jednego człowieka.

„Uratowano także 69 worków z przesyłkami pocztowemi; wprawdzie niewiele, bo ogółem znajdowało się ich na statku 626. Kiedyśmy opuszczali parowiec, woda pokryła już okna jego kajut. Na pierwszy statek, który nam udzielił pomocy, dostało się około 400, na drugi 896 ludzi z „Oregona".

„Ponieważ oba te statki były tylko żaglowemi, więc musieliśmy się teraz zdać na łaskę i niełaskę wiatru. Widocznie jednak szczęście nam sprzyjało, bo w drodze spotkaliśmy parowiec „Fulda", który przyjął nas gościnnie na swój pokład.

„Już zupełnie bezpieczni, przypatrywaliśmy się z tego pokładu ostatnim chwilom „Oregona". — O godzinie pierwszej minut pięć potężny parowiec zatonął, dzióbem pochyliwszy się naprzód. Zwolna, majestatycznie znikał jego pokład coraz bardziej pod wodą. Wreszcie widać było już tylko szczyty masztów i kominy. Kiedy i one znikły, wskazywała jedynie czerwona flaga (umieszczona na najwyższym maszcie) miejsce, gdzie „Oregon" opadał na dno. Pod naciskiem wody pękł nagle pokład i woda olbrzymim promieniem wzbiła się w górę. Teraz już można było zaśpiewać mu: *Requiescat in pace!*

„Okropny ów widok nie wyjdzie mi nigdy z pamięci, widok okrętu tonącego wraz z całem naszem mieniem.

„Na „Fuldzie", choć ona bez nas miała 1800 ludzi dostaliśmy podostatkiem jadła.

„Kiedy o godzinie 8. księżyc zeszedł nie było prawie miejsca na okręcie, gdzieby ktoś nie spał; a byli to ci sami ludzie, których życie, jak to się powiada, wisiało na włosku przed 12 godzinami. Co się mnie tyczy, to całą noc spędziłem na pokładzie. Było ciepło, a wjazd do portu Nowojorskiego przy świetle księżyca, przeciskanie się między mnóstwem oświetlonych okrętów, wreszcie samo przeświadczenie o pobliskości lądu tak urocze po dnia ubiegłego wypadkach, postawiło tę chwilę w rzędzie najprzyjemniejszych, jakie pamiętam.

„Wielu reporterów nowojorskich wyjechało naprzeciw nas, aby zebrać szczegóły rozbicia się „Oregona".

„Zrana około godziny 8-ej odbyliśmy istny tryumfalny wjazd do Nowego Jorku. Wyglądało to na pochód karnawałowy. Ja miałem na sobie pantofle, futro i marynarską czapkę; Hosskins żółty ubiór łowczy i szlafrok. Nikt nie potrzebował się trudzić przenoszeniem bagaży, bo one zatonęły razem z Oregonem. Wymieniony ubiór, etui na bilety wizytowe, zegarek i ołówek — oto wszystko co uniosłem z rozbicia. Ja i mój towarzysz udaliśmy się przedewszystkiem do szewca, potem do krawca, a wreszcie do hotelu, gdzie nas powitano pytaniem: „*Can we send up your baggage?*" (Czy mamy zanieść na górę pańskie bagaże)."

Inny świadek tego nieszczęśliwego wypadku, pasażer „Fuldy" pisze:

„W niedzielę przed południem o godzinie 11., gdyśmy byli jeszcze o kilka godzin od Sandy Hook oddaleni, okazał się wielki parowiec, który swemi sygnałami i niezwykle głębokiem zanurzeniem, zwrócił na siebie uwagę czuwających oficerów. Zbudzono majtków, których znaczna część, od służby wolna, spała i poznano zaraz, że jest to najwspanialszy statek linji Cunardskiej, „Oregon". Łodzie ratunkowe ruszyły natychmiast w drogę. W półtrzecia godziny mieliśmy u siebie 640 pasażerów i 255 ludzi z załogi. O godzinie 1. „Oregon" począł tonąć; w pięć minut później nie było go już widać. Jakkolwiek nikt nie postradał życia, przejmował wszystkich zgrozą widok kolosa, reprezentującego ogromną sumę pieniężną, który w jednej chwili na zawsze zginął. Gdy tylna część pokładu także dostała się pod wodę, ściśnięte powietrze, szukając ujścia, wyrzuciło w górę potężny promień wody. Był to ostatni wysiłek; po chwili powierzchnia się wyrównała i ani ślad nawet nie pozostał po dumnym okręcie. Wysłana natychmiast łódź dobyła już z wody dwadzieścia pocztowych worów. Uratowano także przesyłkę djamentów, które „Oregon" miał w swym ładunku."

Żegluga powietrzna. We wtorek dnia 20. b. m., p. Capazza inżynier, złożył dożywotniemu sekretarzowi Akademji Nauk w Paryżu zajmujące sprawozdanie z badań poczynionych nad rozwiązaniem wielkiego zadania, dotyczącego żeglugi powietrznej. Szereg spadochronów utrzymywanych na lince i wypuszczanych z łódki aerostaty, ma spowodowywać fikcyjne zmniejszenie ciężkości balonu, ponieważ można je napowrót ściągać dowolnie do łódki i powiększać ciężkość balonu o wagę, jaką te spadochrony wynoszą.

Przez odpowiednią kombinację tych spadochronów, balon może stawać się naprzemian to lżejszym to cięższym od powietrza, skutkiem tego następować będą wznoszenia się i opadania balonu, którym aeronauta nadawać może kierunek pochyły za pomocą dźwigni ruchomych i balansów; byłby to w gruncie rzeczy balon dający się kierować.

P. Capazza będzie czynił doświadczenia przygotowawcze na Polu Marsowem i prosi o wyznaczenie delegowanego ze strony Akademji Nauk do zbadania tego nowego systemu.

Żyto górskie uprawiane jest od lat wielu w majątku akademji rolniczej w Altenburgu, z bardzo dobrym rezultatem, gdyż okazało się najwytrzymalszem ze wszystkich próbowanych odmian na nieprzyjazne wpływy gruntu i pogody. Porównawcze próby wykazały, że górskie żyto w jednakowych warunkach daje lepsze zbiory, niż inne odmiany. Nadzwyczaj przytem silnie się krzewi i wydaje słomę długą i bardzo silną; kłosy dochodzą równie znacznej długości, mianowicie 12—15, a nawet 18 centymetrów. Uprawa zwykła nadaje się bardzo do zasiewu z wyką ozimą, lub grochem ozimowym (tam, gdzie siew dwóch ostatnich roślin jest możebnym); na joch (nieco więcej niż morg) wysiewa się 0.60 hektolitrów żyta i 0.66 hektolitrów wyki lub grochu. Przy średnio łagodnej wiośnie żyto rozwija się nader szybko i w końcu kwietnia daje już pierwszy obfity pokos. Zbiór ziarna wynosi średnio 15 hektolitrów (12 korcy) z morga.

Paryski *Figaro* przytacza ciekawy fakt niezgodności pomiędzy mowami cesarza niemieckiego a działalnością ks. Bismarka. Gazeta ta zwraca uwagę nietylko na popieranie, ale nawet i na ustawiczne poduszczanie ks. Aleksandra bułgarskiego do działania przeciw Rosji zarówno ze strony ks. Bismarka jak i hr. Kalnokyego, którzy całej tej sprawie nadali charakter przeciwrosyjski. — Tymczasem cesarz Wilhelm tak się wyraził o księciu Aleksandrze bułgarskim:

„To buntownik. Buntownik wobec swojej rodziny, wobec swego władzcy, sułtana; buntownik wobec swego dobroczyńcy, cesarsa rosyjskiego. — Nie wspominaj mi pan nigdy o tym buntowniku" powiedział raz do Bismarka, ale zaraz dodał „interesa Niemiec mogą panu nakazywać patrzeć zupełnie inaczej na sprawę Aleksandra Battenberga, aniżeli ja się na nią zapatruję; w takim razie postępuj pan zgodnie z temi interesami; donosząc mi o tem, nie wspominaj zresztą o buntowniku niegodnym łask cesarza rosyjskiego."

Etykieta hiszpańska. O greckim cesarzu Herakljuszu opowiadają kronikarze, iż kazał ściąć jednego ze swych bojowników, który zabił człowieka zamierzającego zamordować cesarza, jedynie dlatego, że żołnierz śmiał w jego obecności podczas pokoju wyjąć miecz z pochwy.

Tego samego losu byłby doznał pewien żołnierz w Madrycie, który podczas pożaru na własnych rękach wyniósł z płomieni siostrę króla Filipa III; jedynie prośby księżniczki uratowały mu życie.

Król Filip III — jak zapewniają spółcześni kronikarze — sam umarł z powodu surowej etykiety hiszpańskiej. Siedział on na krześle przed kominkiem, w którym tak napalono, że gorąco było nieznośne. Według surowych przepisów etykiety, przestrzeganych jak najściślej przez króla, monarcha nie mógł się podnieść sam, a służbie niewolno było wejść do komnaty. Naraz wszedł margrabia Potat, a gdy mu król kazał ogień zgasić, objaśnił, że etykieta nie pozwala na to; że funkcja ta należy do zakresu obowiązków księcia Usseda, po którego niezwłocznie pośle. — Margrabia oddalił się, żar stawał się coraz większym, ale król nie ruszał się, nie chcąc ubliżyć swej powadze. Gdy nareszcie książę się zjawił, monarcha leżał na krześle w gwałtownej gorączce; nazajutrz pokazała się róża w głowie, a w kilka dni później 24letni król już nie żył. — Ale etykieta nie została naruszoną.

Verdiana. Z zbioru anegdot o życiu i dziełach słynnego maestra Verdiego wydanego świeżo w Paryżu, niektóre zasługują na reprodukcję. „Traviata", niezawodnie najlepsza opera Verdiego, pierwszy raz wystawiona w Wenecji w roku 1853 zrobiła kompletne fiasco. Nic to dziwnego; podobny los spotkał „Cyrulika" Rossiniego i „Normę" Belliniego. Ale niezwykłą było rzeczą, że czwarty akt Traviaty, tak zwykle wzruszający, wywoływał od początku do końca szaloną wesołość w audytorjum. Było to spiewaków.... zasługą. Umierającą na suchoty Violettę spiewała primadonna Donatelli osoba kolosalnej tuszy, Alfred (tenor Graziani) był zakatarzony i zachrypnięty, a baryton Varesi irytował się, że partja, Germonta ojca była za małą, i traktował ją niesłychanie niedbale. Obok tego spiewacy nie potrafili oddać delikatnego melancholijnego charakteru muzyki. Wystawa była haniebna, a kostjumy nowoczesne (fraki) działały odrażająco, jak parodja. Na dobitek partyjkę doktora miało jakieś kolosalnie śmieszne indywiduum; zapewnienie jego, że olbrzymia primadonna skona za kilka chwil na wycieńczeniu sił i suchoty — zabiło Trawiatę. Na innych scenach odniosła ta opera tryumf zupełny. Najlepszą przedstawicielką Violetty była Marja Piccolomini. Żadna spiewaczka jeszcze nie pochodziła z tak świetnego rodu. Piccolomini była z rodu słynnych wodzów Karola Wielkiego, który to ród przez wieki panował w Sienie i liczył papieża Piusa II. do swoich członków, nie mówiąc już o Piccolóminim wsławionym w czasie wojny trzydziestoletniej i przez Schillera uwiecznionym. Rodzina stawiała spiewaczce ogromne przeszkody przy wstąpieniu na scenę, lecz niezwykły talent i niezłomna wola artystki zwyciężyła. W roku 1863 poszła Piccolomini za bogatego markiza Gaetani i usunęła się od sceny.

W marcu roku 1867 dla uświetnienia wystawy paryskiej pojawiła się druga francuska opera Verdiego „Don Carlos" (pierwszą były „Nieszpory Sycylijskie"). Atoli nie odpowiedziała ona oczekiwaniom i dożyła tylko 43 przedstawień. Od tego czasu, po upływie lat ośmnastu napisał Verdi jeszcze jedną tylko operę, „Aidę", a to na życzenie wicekróla Egiptu, który z góry przystał na wszystkie warunki jakie mistrz postawił i z góry wypłacił mu honorarjum 100.000 franków za partyturę. Fabułę skoncypował uczony francuski egiptolog Mariette Bey. Według szkicu rzuconego przez Beya napisał de Locle libretto prozą po francusku, a Ghislanzoni przerobił je na wiersze włoskie. Scenę sądu Radamesa (przedostatnia odsłona) ułożył i napisał sam Verdi. Kiedy zbliżało się wystawienie Aidy, chedyw

nie szczędził najpochlebniejszych komplimentów zapraszając maestra do Kairu. Ale żadna siła ludzka nie zdołałaby go nakłonić do przedsięwzięcia podróży, tak się obawiał choroby morskiej. W całem życiu raz tylko jechał Verdi okrętem przez kanał Kaletański do Londynu; po tej podróży poprzysiągł sobie nigdy nie jechać morzem. „Aida" miała być wystawioną z końcem r. 1870. Już wszystko było prawie gotowe — już miano wysłać dekoracje i wystawę do Kairu z Paryża i — „Aida" o cały rok się spóźniła. Wystawiono ją w Kairze dopiero 24. grudnia 1871. W tym czasie otrzymał Verdi list od włoskiego krytyka muzycznego, słynnego Filippi, który donosił, że pragnie jechać do Kairu, ażeby usłyszeć „Aidę".

Odpowiedź Verdiego jest tak piękna i tak znamionująca wielki umysł maestra, brzydzącego się wszelką reklamą, że zasługuje, ażeby ją tu przytoczyć w całości. Verdi pisze: „Kochany panie Filippi! Wyda się panu szczególnem i dziwnem co piszę, ale wybacz mi, bo nie mogę ukrywać mych uczuć. Pan miałbyś jechać do Kairu!... Ależ to byłaby reklama najpotężniejsza, jaką w ogóle dla „Aidy" wymyśleć by można. A zdaje mi się, że sztuka z tego punktu widzenia traktowana, przestaje być sztuką — a staje się rzemiosłem, sportem, polowaniem, czemś za czem się goni z hałasem, ażeby miało powodzenie, albo przynajmniej rozgłos. Na widok tego doznaję uczucia wstrętu, obrzydzenia i upokorzenia. Miło mi wspomnieć sobie pierwsze dnie mojej karjery, kiedy prawie bez przyjaciół, bez przygotowań i wszelkiej reklamy stawałem z dziełami mojemi przed publicznością; byłem zawsze przygotowany na potępienie — a byłem nad wyraz szczęśliwy, gdy mi się udało wywołać korzystne wrażenie. A dzisiaj jakiegoż to aparatu potrzeba do wystawienia opery! Żurnalistów, chórzystów, profesorów, dyrektorów itd. Wszyscy znoszą cegiełki do budowy „reklamy". Napiętrzają stosy rzeczy podrzędnych, które nic nie dodają wartości dzieła, a owszem jeśli ma jaką, zasłaniają. Jest to bardzo, bardzo smutne. Dziękuję panu za łaskawą gotowość podróży do Kairu — ale już pisałem do Botlesiniego i zarządziłem wszystkiem, co dotyczy „Aidy". Nie życzę temu dziełu nic więcej, jak tylko dobrego, inteligentnego wykonania. Zresztą, *jak Bóg chce!* Tak bowiem zacząłem karjerę moją — i tak chcę ją zakończyć!"

Kilka słów jeszcze o Verdim jako polityku. Wiadomo, że Włosi w r. 1859 i 1860 używali nazwiska Verdiego jako rodzaj politycznego rebusu. Na wszystkich białych ścianach wypisywano: „Viva V. E. R. D. I. — co znaczyło Viva Vittore-Emmanuele, Re d' Italia. — Kiedy księstwo Parma przyłączyć się chciało do nowego królestwa włoskiego i ukonstytuowało swoję pierwszą reprezentację ludową wybrano Verdiego deputowanym z jego rodzinnego miejsca Busseto. Verdi w tej nowej „pozycji" czuł się mocno żenowanym. Cavour zawezwał go do siebie i proponował mu, ażeby kandydował do pierwszego włoskiego parlamentu.

— „Ależ kochany panie Cavour — odrzekł maestro — wiesz, że nie jestem politykiem. Przykro mi stawać na widowni — chcę w ciszy i spokoju pracować".

Na to odpowiedział Cavour: „Nie chcę z pana bynajmniej robić polityka — ale chciałbym w nowym parlamencie zgromadzić wszystkich sławnych ludzi, którzy zasłużyli się sztukom, literaturze i umiejętności w naszej ojczyźnie".

Tak zaszczytnemu wezwaniu Verdi musiał być posłusznym, ale był tylko na kilku posiedzeniach Izby, poczem złożył mandat. W r. 1875 mianował go Wiktor Emanuel senatorem. Verdi, mający formalny wstręt do polityki, złożył przysięgę przepisaną, ale na posiedzeniach senatu nikt go nigdy nie widział.

Nieszczęście prześladuje iście p. Rozę Sereno, piękną i młodą artystkę teatru Garibaldi w Livorno. Przed niedawnym czasem spadła ona wraz z balkonem, który się oberwał, z wysokości 2 piętra na ziemię i oprócz ciężkich wewnętrznych obrażeń, uległa złamaniu ręki i nogi. Wyzdrowiawszy nareszcie po długiej chorobie, p. Sereno po raz pierwszy występowała na swoim benefisie w ubiegłym tygodniu, w „Poczwarce". W chwili, gdy artystka, grając, zeskoczyła ze stołu, wydała bolesny okrzyk i zemdlała. Biedaczka złamała sobie powtórnie tylko co wyleczoną nogę.

Patti wygwizdana. Stała się rzecz niesłychana; publiczność wygwizdała królowę współczesnych śpiewaczek, zepsutą powodzeniami Adelinę Patti. Przybyła ona do miasta hiszpańskiego Valencia i ogłosiła występ gościnny w „Traviacie". Ufając sobie zanadto, nie chciała odbyć z artystami miejscowymi ani jednej próby, w skutek czego wynikły podczas przedstawienia niedokładności w wykonaniu, które się publiczności nie podobały. Nie podobała się też gorącym Hiszpanom zbyt chłodno odśpiewana arja „Morir si giovanne". Niezadowolniona publiczność zaczęła świstać i podniosła taką wrzawę, połączoną z pogróżkami, że Patti uważała za stosowne uciec ze sceny i z teatru. Brylantów jej pilnował przez ten czas Nicolini. *Sic transit gloria* śpiewaczek.

Chamillac. Tak zatytułowana nowa pięcioaktowa komedja Feuilleta, liczącego dzisiaj już 74 lat wieku (urodz. 1812) doznała w Paryżu na deskach Théatre Français niezwykłego powodzenia. Nowy utwór autora „Montjoye", „Miłości ubogiego młodzieńca" i wielu innych utworów, ma wszystkie zalety i wszystkie wady cechujące pióro Feuilleta. Na szczęście zalety dominują tak, że wady prawie znikają.

Opowiemy treść tego utworu. — Akt pierwszy. Jesteśmy w pracowni malarza Hugonneta. Malarz ten długo pracował bez uznania, bez powodzenia nawet, aż nagle stał się sławną wielkością, dzięki panu Chamillac. Pan Chamillac to szczególnego gatunku oryginał, który proteguje ubogich, ekscentryków, artystów i t. d.

Pracownia Hugonetta znajduje się w domu Chamillaca, a młoda narzeczona oryginała, Zofia Ledieu, jest uczennicą Hugonneta. Ta Zofia Ledieu jest także niezwykłą osobą. Była w kordebalecie, miała narzeczonego, została przezeń opuszczoną, — i — napaliwszy węglami w swojej mansardowej izdebce, chciała z rozpaczy i wstydu na śmierć się zaczadzić. Bo ona wiedziała, co to jest właściwie kobieta uczciwa. Raz dawno, na jakimś balu publicznym w Luchon, stanęła w pośród par tańczących do kadryla. Wszyscy odwrócili się od baletnicy. Stała jak na pręgierzu; pragnęła, ażeby w tej chwili ziemia zapadła się pod jej nogami. Naraz młoda, piękna jak anioł dama, Joanna de Tyras, przystąpiła ku niej, i zaprosiła do „vis-à-vis".

Wobec tego wszyscy goście w sali balowej wrócili znowu do tańca. Potęga dobrego imienia tej pani ocaliła dziewczynę od niesłychanego afrontu. Zofja była tak wzruszoną, że podziękować nawet nie mogła, ale pamięć panny de Tyras zachowała w sercu na wieki. — W chwili opuszczenia hańba własna stanęła Zofji przed oczyma tem wyraźniej, że podnosił ją kontrast zachowanej w pamięci Joanny; to popchnęło biedną dziewczynę do myśli samobójstwa. Ale ocucono ją z letargu i uratowano od śmierci.

Bogaty oryginał Chamillac, polujący na takie sensacyjne zjawiska, zajął się losem dziewczyny, wziął od niej przyrzeczenie stanowczej poprawy, otoczył ją nauczycielami i obiecał, że gdy Zofja nabędzie nieco ogłady i wykształcenia, ożeni się z nią. Zrazu idzie wszystko gładko. — Po pewnym czasie Chamillac, który wycofał się był z życia towarzyskiego, wraca w jego wir znowu. Zofja pokochała Chamillaca bardzo, staje się więc zazdrośną aż do szaleństwa. Podejrzywa swego wybawcę o skłonność ku niejakiej pani Klotyldzie La Bartherie, młodej i pięknej żonie deputowanego, już wcale niemłodego, która zainteresowała się Chamillaciem.

Hugonnet oczekuje właśnie wizyty tej pani Klotyldy i jej siostrzenicy. Maluje on bowiem portret tej drugiej, w której Zofja poznaje młodą swą wybawicielkę z Luchon. Zofja cofa się do sąsiedniego salonu: nie ma bowiem odwagi spotkać się oko w oko z panią Tyras. W ciągu posiedzenia przybywają rozmaici znajomi malarza i tych pań; rozmowa przybiera charakter ogólny. Wreszcie toczy się głównie około osoby Chamillaca.

Klotylda opowiada całkiem otwarcie, że szkoda ażeby „taki człowiek" żenił się z „małą" (Zofją) i wycofywał się przez to z towarzystwa; „małą" można będzie zaspokoić jakąś rentą, a Chamillac będzie ocalony dla towarzystwa. Hugonnet wie, jak przykrą musi być ta rozmowa dla Zofji, będącej w bocznym pokoju, więc zręcznie przerywa posiedzenie, oskarżając się na brak odpowiedniego do malowania światła. Goście wychodzą. Była już największa pora ku temu, bo w tej chwili Zofja w najwyższym wzburzeniu wybiega z swego ukrycia i zemdlona pada w ręce malarza.

W drugim akcie całe towarzystwo znajduje się w salonie pani La Bartherie na posiedzeniu komitetu, któremu przewodniczący deputowany La Bartherie. Są już wszyscy; czekają tylko jeszcze na Chamillaca, który ma po raz pierwszy pojawić się w „komitecie dla uczciwych biednych". Brat Joanny Maurycy, będący członkiem tego samego klubu co Chamillac, sekuje siostrę swą uwagami, że oryginał, którym cały świat się zajmuje, tylko dla Joanny poczuł żywsze uderzenia serca; zdradził się z tem w klubie. Joanna de Tyras śmieje się z tych dziecinnych sekatur brata; utrzymuje że Chamillac spóźnił się bardzo, bo za dwa tygodnie jest jej ślub z Robertem, przyjacielem z lat dziecinnych. Tego Roberta Joanna chwali bardzo, ale ani razu w całym tym hymnie pochwalnym nie wymawia słowa: miłość. Następuje bardzo dobrze obrobiona scena posiedzenia komitetu, podczas której zjawia się nareszcie Chamillac. Po posiedzeniu, gdy członkowie komitetu już wychodzą, wpada Maurycy, wracający z klubu mocno pomięszany. Bierze on Chamillaca na słówko. Wszyscy wychodzą, zostaje tylko Joanna, poprawiająca tualetę. Maurycy zgrał się w klubie i będzie afiszowany, jeśli do jutra nie zwróci długów, szuka więc ratunku u Chamillaca. Oryginał traktuje go z pozorną surowością. Joanna przypomina sobie, że jutro przyjeżdża jej ojciec, który wymógł na Maurycym uroczyste przyrzeczenie, iż kart więcej do ręki nie weźmie. Gdy więc Chamillac ma w ręku losy brata, Joanna postanawia działać... Tak kończy się akt drugi, w sposób nader rozciekawiający.

Chamillac powraca z posiedzenia komitetu do siebie (akt III), zastaje Hugoneta, który mu opowiada o zajściach z Zofją i Klotyldą. Chamillac zwierza się, że nosi w sercu swem miłość bez nadziei i o dziwo! — Hugonet opowiada toż samo. Z bardzo lekkich po mistrzowsku rzuconych rysów widz odgaduje, że Chamillac myśli o Joannie, jako o tej, od której dzieli go przepaść... zaś Hugonet o Zofji. Ale Chamillac zapewnia, że jakkolwiek ubóstwia inną, dotrzyma słowa Zofji. Łatwo mu ją uspokoić, bo może przysiądz, że o Klotyldzie ani mu się śniło. Podczas tej sceny uspokajania, anonsują wizytę zawoalowanej damy. Chamillac nie chce Zofji pokazać karty tej pani — więc na nowo wznieca w niej podejrzenia. Mimo próśb Chamillaca Zofja nie odchodzi i wzywa wstępującą do salonu damę, ażeby zdjęła woal. A kiedy poznaje Joannę, prosi o przebaczenie, całuje podaną sobie rękę anioła z Luchon i odchodzi upokorzona a pełna dobrej wiary. W rozmowie z Joanną wyjaśnia Chamillac dlaczego udawał tak nieubłaganego wobec Maurycego. Zapłacił on długi młodego karciarza, ale chciał mu dać przy tej sposobności jednę z tych straszliwych nauczek, które niejednego gracza zwróciły od przepaści... Z wyrazami wdzięczności na ustach żegna Joanna Chamillaca i już ma wyjść, gdy wpada narzeczony jej Robert — ostrzeżony przez Klotyldę — i żąda wyjaśnienia tej wizyty.

Joanna z godnością odpowiada, że nie jest panią tajemnicy, a gdy Robert nalega, ona głęboko dotknięta usuwa się, pozostawiając Chamillacowi wolność udzielenia objaśnień. Robert czeka na nie. I tak rozpoczyna się ostro utarczka na słowa, bo teraz stają sobie w oczy dwaj rywale. Chamillac odmawia wszelkich objaśnień i daje Robertowi dotkliwą lekcję przyzwoitości za naleganie na wyjawienie tajemnicy, która go wcale nie obchodzi. Robert widzi w ogniu, z jakim Chamillac broni Joanny, prawdziwą namiętność ku niej, — a Chamillac na zapytanie Roberta w tym kierunku, odpowiada słowami: tak! ubóstwiam ją! — wyrzeczonemi a raczej wyrzuconemi namiętnym tchem w oczy rywalowi.

W czwartym akcie poznajemy jenerała de Tyras, ojca Joanny i Maurycego. Robert żąda od niego zwrotu słowa.

Jenerał żąda od Joanny wyjaśnień; Maurycy wyjawia wszystko i otrzymuje od ojca przebaczenie pod warunkiem, że w kolonjach w obliczu wroga zapomni o fatalnej namiętności. Robert zyskuje także przebaczenie, ale nie odzyskuje serca Joanny. Równocześnie przychodzi wiadomość, że Chamillac został ciężko raniony w pojedynku z Robertem. Rozpacz ogarniająca Joannę poucza jenerała o uczuciach córki względem Chamillaca. Jenerał oznajmia jej tedy z bolem serca, że między obojgiem istnieje przepaść z powodu, który jest tajemnicą Chamillaca. Jeśli umrze — mówi do córki — nie potrzebujesz znać tej tajemnicy, jeśli wyjdzie, niech sam ci ją opowie. Na tem kończy się akt czwarty. Ten sposób chowania tajemnicy aż na koniec sztuki, tyle razy nadużyty, stał się wreszcie banalnym — i stąd akt czwarty wywołał pewne rozczarowanie publiczności. Tem świetniej za to wypadł Feuilletowi akt piąty. Chamillac po siedmiu tygodniach już prawie wyzdrowiał. Hugonnet i Zofja odwiedzają go i przedstawiają się jako... narzeczeni. Zofja mniemając, że ona jest przepaścią dzielącą Chamillaca od Joanny, poświęca się dla swego wybawcy. Atoli była w błędzie. Wkrótce pojawia się jenerał i żąda, ażeby Chamillac sam wyznał Zofji całą tajemnicę, a gdy nieszczęśliwy po długiej walce wewnętrznej decyduje się na to, jenerał przywołuje córkę — i zaczyna się spowiedź. Chamillac służył jako młody oficer w pułku jenerała w Afryce. Był graczem i przegrał raz więcej, jak mógł zapłacić. List pieniężny w kancelarji jenerała zwiódł go na pokuszenie... Wziął go, a podejrzenie padło niesłusznie na jakiegoś żołnierza. Chamillac zatrzymał list przez 14 dni, nie ruszając go wcale, tymczasem rozpowiadał, że spodziewa się z domu pieniędzy.

Później rozdarł kowertę i wrzucił ją w ogień, właśnie w chwili, kiedy wszedł do pokoju jenerał, który spojrzawszy na płonącą kowertę poznał adres i przekonał się o zbrodni młodego oficera. Dał mu kilka godzin czasu, ażeby zginął z honorem, ale Chamillac wyprosił sobie łaskę, iżby mógł paść od nieprzyjaciela. W istocie w kilka dni później, — w utarczce z Kabylami podjęto Chamillaca między trupami z pola. Nie umiera się jednak „na żądanie". Po długiej słabości wyzdrowiał Chamillac i tymczasem dostał znaczną sukcesję po wuju. Jenerał przebaczył mu pod warunkiem, że wystąpi ze służby wojskowej i w świecie będzie się starał majątek swój obracać na dobre cele. Tem się tłumaczy — dopiero teraz — pozorne dziwactwo Chamillaca, który proteguje skruszonych grzeszników. Po skończonej tej spowiedzi jenerał zdaje władzę wyroku córce, która wyciąga ku Chamillacowi dłonie i mówi: „Wstań pan i weź moję rękę!" — Nie ufający tak wielkiemu szczęściu Chamillac błagającym wzrokiem spogląda na jenerała. Ten jednak chciał wi-

docznie tylko aktu skruchy — bo aprobuje wyrok Joanny.

Ten piąty i ostatni akt zawierający sens moralny sztuki, wypełniony jest prawie cały spowiedzią Chamillaca, która jest może największą i najtrudniejszą mową sceniczną, jaka kiedykolwiek napisaną była. Jest to arcydzieło w swoim rodzaju. Chamillaca grał w Paryżu Coquelin — jeden z najlepszych współczesnych aktorów, zaś Joannę panna Bartet, należąca również do najpowabniejszych i najbardziej ujmujących współczesnych artystek dramatycznych.

Matka Stanleya. W Bodelwydlan w hrabstwie Walji, zmarła przed niedawnym czasem, niejaka pani Jones, która na łożu śmierci wyznała, iż jest matką podróżnika afrykańskiego Henryka Stanleya i złożyła na to dowody. Władze miejscowe postanowiły wznieść na grobie p. Jones pomnik i wspomnieć w napisie na nim, że zmarła była matka Stanleya.

Przed sądem przysięgłych w Rzymie stał w tych dniach adwokat i literat, dr. Coppa, oskarżony o popełnioną w ciągu ubiegłej zimy w różnych zakładach publicznych kradzież 25 paltotów. Jakkolwiek przysięgli oświadczyli, że podsądny działał „pod wpływem niepokonanej żądzy", niemniej skazali go na dwuletnie więzienie. Miły kolega tak dla adwokatów jak i literatów!

Klub samobójców jest najnowszym wytworem manji stowarzyszeń, grasującej bardziej, niż gdzieindziej, w Stanach-Zjednoczonych. Klub ten, który utworzył się w Danbure, w Stanie Connecticut, ma na celu wszystkich członków swoich, pragnących z własnej woli opuścić ten padół płaczu, zaopatrywać w potrzebne na to środki, czerpane z kasy stowarzyszenia.

Wysepka Juan Fernandez, na której niegdyś majtek Aleksander Selkirk, znany z słynnej powieści Defou'a jako Robinson Crusoe, kilka lat sam przebywał, zamieniła się dziś na kwitnącą kolonję. Na czele tego małego państewka stoi obecnie szwajcar Rodt, znany prusakożerca. Przyjmuje on chętnie wszystkich kolonistów oprócz prusaków, których tak nienawidzi, że walczył przeciw nim jako ochotnik w Austrji i Francji.

Gra słów. Pływanie jest jedyną sztuką, której nie należy *zgłębiać do gruntu*, lecz owszem traktować *powierzchownie*.

W Kopenhadze grono patrjotek utworzyło komitet narodowej obrony i zaczęło zbierać składki na wzmocnienie fortyfikacyj miasta. Suma stąd otrzymana już przenosi miljon koron.

Nazwisko Shakespeare, dziś słynne i zaszczytne, było niegdyś, jak świadczą odnalezione świeżo dokumenty angielskie z XV. wieku, tak pospolitem, że wielu z jego właścicieli zmieniało je na inne, nie chcąc nosić miana wyszydzanego.

W dziennikach angielskich czytamy ogłoszenie, w którem Burben, b. wojskowy. znany niegdyś mówca uliczny, podejmuje się zasiadać przy obiedzie jako czternasta osoba, za 10 f. st. od jednego razu. Ugody miesięczne są tańsze. Przy znanej zabobonności Anglików p, Burben dobre może robić interesa.

Szczególny znak miłości wymyślił sobie młody murzyn, nazwiskiem Luccy, odsiadujący za złodziejstwo karę w więzieniu w Missouri. Ponieważ kochanka jego, piękna murzynka, przebywała w tym samym zakładzie za morderstwo, a czuły adonis nie mógł się do niej dostać, przeto odciął sobie mały palec od lewej ręki, zawinął go w papier i posłał go jako dowód miłości swojej bogdance. Ta jednakże, zamiast ucieszyć się tak szczególnym prezentem, zaczęła wrzeszczeć z przestrachu i wydała w ten sposób całą tajemnicę.

W sądzie. „Oskarżony, czy masz jeszcze co powiedzieć na swoją obronę? — „Jestem najzupełniej niewinny, proszę więc o przyznanie okoliczności łagodzących."

Część ekonomiczna.

Losowania. Na dokonanem w Wielką sobotę wieczorem losowaniu w Peszcie loterji „Kincsem" padła główna wygrana (50.000 złr.) na los Serja 2201 Nr. 31; druga wygrana (10.000 złr.) na Serję 2568 Nr. 2; trzecia wygrana (5.000 złr.) na Serję 2710 Nr. 5: czwarta wygrana (3.000 złr.) na Serję 2562 Nr. 36; piąta (2.000 złr.) na S. 1470 Nr. 31; szósta (1.000 złr.) na S. 425 Nr. 47. Po 500 złr. wygrały S. 1055 Nr 53. S. 2357 Nr. 1; po 100 złr. S. 888 Nr. 74, S. 2445 Nr. 43, S. 851 Nr. 66, S. 265 Nr. 66, 6. 2397 Nr. 64, S. 2184 Nr. 26, S. 2098 Nr. 84, S. 540 Nr. 58, S. 2319 Nr. 53, S. 2002 Nr. 5. Oprócz tego dużo losów wylosowało 50 złr., 20 złr., 10 złr. i 5 złr.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 28. kwietnia. *Wiener Ztg.* ogłasza mianowanie radzcy sądu wyższego we Lwowie, Michalewskiego, na prezydenta sądu obwodowego w Złoczowie.

Capo d'Istria 28. kwietnia. Skutkiem prowokacji ze strony czterech podochoconych robotników przyszło do starcia z wojskiem, przyczem kilka osób lekko raniono. Czterej sprawcy zajścia zostali uwięzieni. Zarządzono stosowne środki celem zapobieżenia możliwym dalszym niepokojom.

Berlin 28. kwietnia. W Radzie związkowej wniesiono przedłożenie o utworzeniu seminarjum dla języków wschodnich w uniwersytecie berlińskim.

Rzym 28. kwietnia. Organ urzędowy ogłasza królewski dekret, zarządzający rozwiązanie Izby i nowe wybory na dzień 23. względnie 30. maja i zwołujący parlament na 10. czerwca.

Dołączone do dekretu sprawozdanie ministerjalne wylicza przeprowadzone reformy i zaznacza, że zupełnie przywrócono równowagę budżetową dzięki zarządzonym środkom finansowym. Trudnego dzieła reformy niepodobna było dokonać bez różnicy zapatrywań, które wystąpiły przy głosowaniu dnia 5. marca i znacznie przerzedziły szeregi większości przychylnej rządowi. Celem przeprowadzenia niedopełnionych reform koniecznie potrzebna jest siła, której wolne rządy szukają w zjednoczonej, zgodnej większości. Wynika stąd, jako rzecz nieodzowna odwołanie się do kraju, którego wyrok ponownie da królowi i godnym czci instytucjom dowody zdrowego rozsądku ludności.

Londyn 28. kwietnia. Do *Daily News* donoszą z Aten: Dekret królewski nakazuje rozpuszczenie powołanych świeżo dwóch klas rezerwy.

Ateny 28 kwietnia. Opozycyjna prasa twierdzi, że Grecja ustąpiła, nie zyskawszy żadnego zadośćuczynienia. Dzienniki z tego obozu napadają na ministerjum, zarzucając, że ono kraj skompromitowało, pozbawiwszy go sympatji Europy. Ministerjalna prasa broni gabinetu, który uzyskał moralne zobowiązanie mocarstw.

Demobilizacja ma się niezwłocznie rozpocząć. Poczem zbierze się znowu Izba.

Wczoraj panował ogromny ruch między ludnością, ale nie ma obawy o wewnętrzne niepokoje.

Pięć międzynarodowych okrętów wpłynęło do zatoki Faleruńskiej i do Pireju, aby swym naciskiem poprzeć ultimatum. Nastąpiła wymiana zwyczajnych strzałów powitalnych.

Agencja Havasa donosi: Ogólnie utwierdziło się przekonanie, że gabinet poda się do dymisji, jeżeli mocarstwa nie cofną swego ultimatum.

Między okrętami, które wpłynęły do Pireju, nie ma rosyjskiego.

Odpowiedź na ultimatum odroczono, ponieważ rząd chce wprzód dowiedzieć się, czy pięć mocarstw na wypadek zgodzenia się Grecji będzie się opierało przy utrzymaniu ultimatum w jego teraźniejszej osnowie. Wieczorem ma dla tego Delyanis wysłać do reprezentantów Grecji cyrkularz orzekający, że Grecja stosownie do rady Francji i w nadziei, że Europa odwdzięczy się jej za tę decyzją, odrzuca politykę zbrojną, która może być poczytana za groźną dla pokoju. Grecja przygotowywała demobilizację z zachowaniem względów, których wymaga publiczny porządek i stosunki wojskowe, ale właśnie wtedy otrzymała ultimatum pozbawiające ją wolności akcji. Ultimatum zmieniło sytuację. — Rząd musi spiesznie postępywać.

Ale pod naciskiem i groźbą floty międzynarodowej Grecja odrzuca wobec sytuacji chwilowej propozycję takiego rozbrojenia, które byłoby połączone z niebezpieczeństwami. Gdyby zaś mocarstwa pozostawiły Grecji wolność akcji, to ona lojalnie wypełniłaby zobowiązania przyjęte wobec Francji w sposób, którego wymaga honor i interesa Grecji.

Przyjechali do Lwowa
dnia 28. kwietnia 1886.

Hotel Żorża: Księżna W. Lubomirska z Bakończyc. K. Górski z Przemyśla. F. Stelzer z Gleiwic. J. Reinoch z Czartoryi. J. Jaroszyński z Błudnik. J. Kownacki z Zuzela.

Hotel Francuski: J. hr. Pinińska z Grzymałowa. A. Durst z Brzeżan. Ch. Bernstein z Jarosławia. Ks. F. Majewski z Marjampola.

Hotel Angielski: J. Rylska z Uhrynowa. L. Szechowicz z Oleska.

Hotel Langa: Z. Swiejkowski z Tarnopola. Z. Regenstreif z Stanisławowa. K. Heindrich z Żółkwi.

Hotel Europejski: A. Igelstrom z Kielec. A. hr. Kranzenstein z Niemirowa.

Hotel Krakowski: J. Lewandowski z Kuczurówki. M. Rieger z Słobody. R. Kuss z Tarnopola.

Hotel Warszawski: A. Angermann z Tarnopola. L. Schweiger z Zielonki.

Hotel Kuhnów: W. Radzikiewicz z Kałusza. J. Krepner z Niska. J. Olesko z Tarnopola.

Z targów zbożowych.

28 Kwietnia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	8 25—8 75	8. —8.75	7.50—8.50	8.——9.10
Żyto	6.——6.25	5.50—6.—	5.40—5 75	6.——6.40
Jęczmień	5.65—7.—	5.25—6 30	5.——6.50	6 ——7.—
Owies	6.75—7.—	6.——6.50	5.80—6.25	6 75—7.—
Groch	6.— 10.—	6.— 10 —	7.— 10.50	7 — 10.50
Wyka	7 — —	6.——7.—	.—— .—	7.—— .—
Rzepak	——.—	—.——.—	—.——.—	10.—11.—
Lnianka	.— .—	10—12.75	.— .—	10.—12 —
Konic. czer.	40.—53 —	40.—52.—	40.—48.—	40 — 50
Konic. biała.	35—48.	35.—48 —	30.—45.	35.—50.—
Konic. szwed.	40—45—	—.——.—	—— —	40—.48.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł 5. — 10 nominalnie.

Kurs giełdy wiedeńskiej.

Wiedeń, dnia 28. Kwietnia 1886.
godzina 10 minut 35 przed południem.

Akcje kredyt.	289.80	Pożyc. kraj. $4^1/_2$%	
Kolej Kar. Lud.	205.50	z r. 1883.	92.75
Unionsbank	—.—	Napoleondor	10 02—
Rosyjs. banku	1·2425	Węg. obl.p. zł.	—.—
Banku kraj. $4^1/_2$%	95.75		

Usposobienie: mdłe.

Lwów. Z Izby handlowej, 28. Kwietnia 1886.

	płacą		żądają	
1. Akcje za sztukę. bez kuponu bieżącego bez dywidendy:				
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	207	25	210	50
„ lwow. czer.-jass. 200 zł. w. a.	231	50	235	—
Banku hypot. galic. 200 zł. w. a.	285	—	290	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	217	—	222	—
2. Listy zastawne za 100 złr.				
Tow. kred. galic. 5 prc. w. a.	100	60	101	60
„ „ „ 4 „ „	94	50	95	50
„ „ „ 5 „ okres.	100	60	101	60
„ „ „ 4 „ „	92	50	93	50
Banku krajowego $4^1/_2$% w. a.	95	50	96	50
„ hyp. galic. 6 „ „	102	50	103	50
„ „ „ 5 „ „	99	15	100	15
„ „ „ 5 „ z 10% prm.	101	30	102	30
3. Listy dłużne za 100 złr.				
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	—	—	54	—
„ „ „ „ (d. 5%) $2^1/_2$% „	—	—	50	—
4. Obligi za 100 złr.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	25	105	25
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	99	25	100	25
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	102	75	104	—
„ „ „ 1883 $4^1/_2$% „	94	50	95	50
5. Losy,				
Losy miasta Krakowa . .	17	—	19	—
„ „ Stanisławowa . .	26	—	28	—
6. Monety.				
Dukat holenderski . .	5·84		5·94	
Dukat cesarski . .	5·86		5 96	
Półimperjał rosyjski . .	10·27		10·37	
Rubel rosyjski srebrny . .	1·54		1·64	
„ „ papierowy .	1·23		1·25	
100 marek niemieckich . .	61.45		62.25	

Ruch pociągów.

Ze Lwowa odchodzą:
(Podług zegaru lwowskiego).
Od I listopada z. r.

Do Krakowa . . .	*10.46	4. 5	8.—	4.50	—.—
Do Podwołoczysk .	10.27	*5.56	—.—	12.35	—.—
„ (z Podzamcza) .	10.56	—.—	*6.07	1.09	—.—
Do Czerniowiec . .	—.—	11.06	*6.20	12.20	—.—
Do Stryja	7.30	—.—	7.30	11.45	—.—

Do Lwowa przychodzą:

Z Krakowa . . .	9.27	*5.36	11.33	7.50	—.—
Z Podwołoczysk .	*10.26	3.05	—.—	3.50	—.—
(na Podzamcze) .	*10.12	2.28	—.—	3.20	—.—
Z Czerniowiec . .	*10.05	3.35	—.—	3.30	—.—
Ze Stryja	1.25	—.—	8.25	4.35	—.—

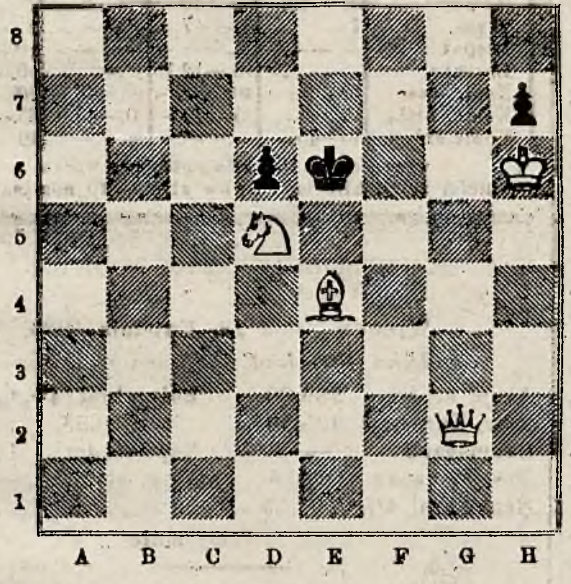
* Gwiazdką są oznaczone pociągi pośpieszne. W obwódkach czarnych ▭ są godziny nocne, to jest od szóstej wieczór do szóstej rano.

SZACHY.

ZADANIE Nr. 12.

Białe zaczynają i dają mata za 3 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 11. w Nr. 92 Przeglądu.

Białe.	*Czarne.*
1) A2—A1 † . . .	1) C1—D2.
2) A1- E1 biorą † . .	2) D2--E1 biorą.
3) E5 - F3 † † . . .	3) E1—D1.
4) E8 - E1 † i mat.	

Św. JAN KANTY.

Staloryt w formacie 32° z brzeżkiem koronkowym, żywotem świętego i modlitwą wyszedł świeżo

Nakładem Księgarni Katolickiej

Dra Władysława Miłkowskiego

w Krakowie.

Poprzednio wyszły tymże nakładem staloryty z brzeżkami koronkowemi, i modlitwami przedstawiające: 1. Chleb żywota, 2. Najśw. Marją Pannę Częstochowską, 3. Pamiątkę 1ej komunii świętej, 4. Najśw. Pannę Piaskową, 5. Św. Franciszka z Asyżu, 6. Najśw Pannę Pocieszenia, 7. Bł. Jana z Dukli, 8. Św. Jadwigę.

Cena tych 9 obrazków jest jednakową i dlatego nabywać je można w tuzinach i setkach mięszając.

Cena sztuki 6 centów. Cena tuzina 60 centów. Cena 50 sztuk 2 złotych austr. Cena 100 sztuk 3 złotych austr.

985 3—6



Z. MOZER i SYN

we Lwowie,

ulica Krasickich liczba 5.

Wielki skład

Gotowych Dzwonów, Sikawek, Pomp, Odlewów z żelaza, mosiądzu, tombaku itp.

LUDWISARNIA

zaszczycona na wystawie krajowej dyplomem honorowym,

przyjmuje 10 2 3—24

zamówienia na odlewy **Dzwonów** do największych rozmiarów

i wszelkich innych przedmiotów. które wykonywa najsumienniej.



Najprzedniejsza 970 2—10

Zytniówka kminkowa

E. Lichtwitza i Spółki

c. k liwerantów nadwornych w OPAWIE.

Przedni ten aromatyczny likier kminkowy, wyrabiany przez nas z największą starannością z czystej wódki żytniej i z wybornego, zielonego kminu holenderskiego, działa bardzo dobroczynnie na trawienie i może być usilnie polecony jako niezrównany i smaczny środek higieniczny.

Allasch kminkówka najdelikatniejsza. Eckau 00, najdelikatniejszy, najsilniejszy gatunek.

Nabyć można we wszystkich handlach korzennych i delikatesów.

PASQUALE ZACCHI

we Lwowie.

Na sezon budowlany poleca fabryka odlewów gipsowych **ozdoby architektoniczne z gipsu, cementu i wapna hydraulicznego.**

Jako nowość poleca również **statue i popiersia z masy „gessalina“**, która odznacza się nadzwyczajną białością i trwałością.

Ceny najumiarkowańsze.

Zlecenia z prowincji uskuteczniają się **w jak najkrótszym czasie.**

996 3—10

Ces. król. uprzyw.

galic. akcyjny

Bank hipoteczny

wydaje

we Lwowie i przez filie

w Krakowie, Czerniowcach i Tarnopolu

Asygnaty kasowe

4% płatne w 30 dni po wypowiedz.

4½% „ w 60 „ „ „

Lwów 7. stycznia 1884.

Dyrekcja.

(Przedruk nie będzie płacony.) 874 134—?

Skład i pracownia

Wyrobów blacharskich

odznaczona trzema medalami zasługi i patentem na oszczędne szybkowarki,

pod firmą

Ferdynand Kindel & Władysław Gerc

Lwów, ulica Halicka l. 15.

poleca Szan. Publiczności

wszelkie przedmioty w zakres blacharstwa wchodzące

w wielkim wyborze jako to:

Wanny różnej wielkości, wanny nasiadowe, tusze, klozety, łaźnie domowe, naczynia emaljowane.

Patentowane oszczędne 992 5—6

SZYBKOWARKI

gotujące na każdej naftowej lampie.

Wykonuje także pokrycia dachów i wież kościelnych blachą żelazną, cynkową, miedzianą, szyfrem i papą, dalej gzymsy, ornamenty, wszelkie ozdoby cynkowe i okna manzardowe.

Przy starych budynkach uskutecznia tak w miejscu jak i na prowincji wszelkie naprawy i malowanie dachów.

Przyjmuje także naczynia kuchenne do naprawy i pobielania po najumiarkowańszych cenach.

Zamówienia z prowincji załatwia się odwrotną pocztą.

◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆

Ogólnie uznanym za najlepszy, wypróbowanym, niezawodnym

środkiem przeciwko nagniotkom

za pomocą którego bez bolu wytępia się je do szczętu pod gwarancją jedynie za pomocą pędzlowania, jest prawdziwa „tynktura keralinowa“, wyrób aptekarza Schneida, właściciela apteki św. Jerzego, w Wiedniu (V. Wimmergasse 33), dokąd należy wysełać wszystkie listowne zamówienia. Cena 1 flakonu 1 zł., ½ flakonu 60 ct. Na opakowanie przy przesyłkach pocztą dołączyć należy 10 ct.

Skład dla Lwowa w aptece P. Mikolasza. 913

◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆◆

Piernik Higieniczny

L. CZYŃSKIEGO

w Jarosławiu,

usuwa wszelkie dolegliwości narządu trawienia.

Świadectwo. Pierniki Pańskie są znakomite byłem chory na żołądek według recepty używałem i używam i jestem nadspodziewanie zdrów Jestem pewny że jak mnie tak wielu innym pomaga. Pierniki Higieniczne. Serdecznie jestem Panu wdzięczny *Biechoński Kraków.*

Cena 20 ct. Do nabycia we wszystkich aptekach.

979 1-?

Berneńskie materje

na eleganckie

Letnie paltoty

w odcinkach po Mtr. 3·10 t. j. 4 wied. łokcie każdy odcinek

za zł. 4·80 z cienkiej

za zł. 7 z bard. cienkiej

za zł. 10·50 z najcieńszej

prawdziwej wełny

jakoteż kamgarny i materje paltotowe rozsyła za zaliczką, znana z rzetelności i solidności fabryka towarów suklennych

Siegel-Imhof

w Bernie.

Objaśnienie. Każdy odcinek jest Mtr. 3·10 długi i 136 ctm szeroki a przeto wystarcza zupełnie na męskie letnie palto.

Znana solidność i majętność tej firmy daje rękojmę, że tylko najlepszy towar i dokładnie według wybranego wzoru przysłany będzie.

Ponieważ teraz wiele szachrajskich firm pod pokrywką „Berneńskich towarów“ praktykują swe szwindle, przeto udać się należy do powyższego składu.

Wzory gratis i franco.

968 7—10

BIURO

Stow. Nauczycielek

przy ul. Szewskiej Nr. 8 w Krakowie

pod kierunkiem

A. DEMBOWSKIEJ

poleca Szan. Rodzicom i Opiekunom

nauczycielki

polki, francuski i angielki — oraz

bony i wychowawczynie

tychże narodowości. 957 6-?

Zakład

RYTOWNICZY

został otwarty

przy ul. Halickiej l. 20

na I. piętrze na prawo.

Przyjmuje się zamówienia na: Stampilje kauczukowe i metalowe, marki pieczatkowe, herby, stampilje z przyciskami i t. p. Prasy na suchy druk, różne Monogramy i t. d. Wszelkie zamówienia miejscowe i z prowincji przyjmuje i wykonuje się najgustowniej, taniej jak wszędzie w najkrotszym oznaczonym terminie.

Z poważaniem

SZYMON LETZ

979 5—10 rytownik.

Kto chce!!!

tanio i rzetelnie robić sprawunki, niech sobie zamówi letni Katalog, zawierający oryginalne illustracje parasoli i parasolek, kapeluszy, krawatek, wyrobów skórzanych, lasek, galanteryjnych i zbytkownych artykułów pierwszego wiedeńskiego zakładu

Rix, Wien II.

Katalog ten gratis i franco rozsyła się.

976 2—3

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich w Bielsku i w Białej.

…karni Pillera i S…